Nr. 6 Poznań, dnia 9 Lutego 1908 r. Rok XII.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Projekt wywłaszczenia

był dnia 30-go stycznia przedmiotem obrad izby panów.

Z „ciężkiem sercem'' projekt ten przyjęty został w izbie posłów, to też i w izbie panów nie budził żadnego a żadnego entuzyazmu. Nawet ci mówcy, którzy kruszyli kopie za projektem, również z ciężkiem mówił sercem. Z mów tych wyzierało przygnębienie. Nikt nie zdobył się na rzetelną pochwałę projektu, kto go polecał, czynił to z wyraźnem odcieniem zakłopotania i nieomal wstydu. Traktowano go, jako zło konieczne, jako postulat konieczności państwowej, jako wypływ zimnej racyi stanu.

Nastrój w izbie wyższej był przeważnie niepomyślny dla projektu. To też ze strony rządu aż trzech mówców wstąpiło w szranki, aby sobie jednać zwolenników. Przemawiali: ks. Bülow i ministrowie Rheinbaben i Arnim. Z członków izby panowie Adickes, Hamm i Kersten występowali jako popieracze ekspropryacyi Polaków. Natomiast J. E. ks. kardynał Kopp oraz hrabiowie Thiele-Winkler i Droste-Vischering i nadburmistrze Körte i Bender energicznie zwalczali projekt rządowy.

Debaty były bardzo długie i wyczerpujące. Zakończyły się odesłaniem projektu do komisyi złożonej z 25-ciu członków. Z Polaków w komisyi też zasiada hr. Hutten-Czapski. Pomiędzy innymi są członkami komisyi: J. E. ks. kardynał Kopp, dr. von Dziembowski poznański starosta krajowy, nadburmistrz poznański dr. Willms, ks. na Trachenbergu, nadburmistrz królewiecki Körte, ks. szleswicko-holsztyński Ernest Günter, brat cesarzowej, podobno przeciwnik ustawy i i.

„Dz. Pozn.'' dowiaduje się, że w komisyi zasiada 16-tu przeciwników, a tylko 9 zwolenników projektu. „Schles. Ztg.'' zaś twierdzi, że tylko 11 członków komisyi jest przeciwnych ustawie, a więc znaczna mniejszość.

Jakkolwiek by było, nie należy się niczem łudzić. Najlepsze, co zrobić możemy, jest czekać spokojnie wyniku obrad komisyi i nie stawiać żadnych horoskopów na przyszłość najbliższą. Sprawa wywłaszczenia jeszcze nie przeszła, jeszcze nie stała się ustawą. Wiadomo też, że z dniem każdym przybywa jej przeciwników. Tak np. w ostatniej chwili jeszcze w „Tagu'' berlińskim wzywa p. v. Klitzing izbę panów, aby okazała się silną i odrzuciła ten nowy środek wyjątkowy, sprzeciwiający się konstytucyi, a zamykający w sobie źródło najostrzejszego rozgoryczenia i zaciętych walk narodowościowych. Są więc jeszcze nadzieje, że ostatecznie da się od nas odwrócić ten kielich goryczy. Nadzieje te są jednak bardzo a bardzo słabe, ponieważ obawiać się należy, że rząd zdoła za kulisami uspokoić niektórych przeciwników ustawy i nakłonić ich do uległości. Toć hasła narodowościowe są obecnie bardzo popularne w Prusach. Wiadomo też, że ks. Bülow stawia kwestyę tak, jak gdyby od przyjęcia lub odrzucenia tej ustawy zależała nie tylko spokojność ale i przyszłość państwa pruskiego, posiadanie lub zrezygnowanie z polskich dzielnic.

Nie należy posądzać kanclerza, że wychodzi na łapichłopstwo. Prawdopodobnie kanclerz przeświadczony jest o słuszności swych przewidywań. Mimo wszystko przewidywania te i obawy są zupełnie płonne, choćby dla tego, że posiadanie lub nieposiadanie 70 tysięcy hektarów ziemi jeszcze nie rozstrzyga o losie polskich dzielnic, powtóre, ponieważ Polacy nie myślą wcale o odrywaniu się od Prus, gdyż najprzód nie mają ku temu potrzebnych środków, a następnie nie wiedzieliby, dokąd by odpaść mieli, boć chyba nikt nie jest tak naiwny, aby miał wierzyć, że pruskie dzielnice polskie same, jako samodzielne państwo wogóle ostać by się mogły. Stracić dzielnice polskie mogą Prusy np. wskutek nieszczęśliwej wojny z Rosyą i to nawet wtedy, choćby tam nie tylko ziemia, lecz i cała ludność była niemiecka. Dla Rosyi bowiem Polak tak samo jest żywiołem obcym, jak Niemiec. Trudno więc zrozumieć, w jakim stopniu wywłaszczanie Polaków miałoby się przyczynić do utwierdzenia dzielnic polskich w posiadaniu pruskiem.

Strach ks. Bülowa i hakatystów przed nami może być dla nas bardzo pochlebnym, dla Niemców jest smutnem świadectwem ubóstwa, małodusznością, nie licującą wcale z wielkiem o sobie wyobrażeniem, jakie ten naród pielęgnuje.

Sądzimy, że tęższe umysły nie pozwolą się tak łatwo przekonać tchórzliwej argumentacyi ks. Bülowa. Licząc się jednak z tem, że strach przed Polakami stał się chorobą epidemicz-

ną, należy się zawsze obawiać jej skutków.

Na czwartkowem posiedzeniu izby panów mowa J. E. ks. kardynała Koppa bezsprzecznie największe wywarła wrażenie.

Ks. kard. Kopp określił nasampierw uczucie, jakie powstaje na myśl o tym projekcie: jestto uczucie przykrości. Projekt tłoczy ciężarem swoim serca. Uczucie to nie może być obojętne rządowi, tem mniej tym, którzy przez przyjęcie tego projektu biorą na siebie — zupełną za niego odpowiedzialność. To uczucie wewnętrznego niepokoju dowodzi także, że projekt jeszcze nie dojrzał i że rząd powinienby go sobie jeszcze raz dokładnie rozważyć. — Ks. kardynał uznał, że jest obowiązkiem bronić granic państwa, że skutkiem tego chciałby na kresach mieć ludność spokojną — nie przeczył, że w ostatnim czasie pojawiły się w dzielnicach polskich zjawiska, jakoby Polacy nie byli dość spokojni. Jednakże znawcy tamtejszych stosunków twierdzą, że w większości swej ludność polska jest wierną państwu. Być może, że trwoży się ludność polska zarządzeniami rządu, że skutkiem tego w jej łonie powstają objawy niepokojące, ale nikt nie ośmieli się zapewne zaprzeczyć, że ta ludność spełnia swoje obowiązki państwowe. Radykalizm słusznie zwalczać należy, żeby jednakże projekt wywłaszczenia miał pożądany w tym względzie odnieść skutek, o tem wątpić należy. Jest rzeczą niemożliwą rządzić zawsze tylko prawami wyjątkowemi. Kto zresztą obowiązki swoje spełnia, ten ma prawo domagać się równego traktowania z innymi obywatelami państwa. — Rząd twierdzi, że tu nie chodzi o pozbawienie kogoś prawa, lecz że chodzi o środki ubezpieczające niemieckość, że nie będzie wywłaszczona drobna własność, lecz tylko większa. Jakże to więc jest rzeczą niesprawiedliwą wywłaszczać drobnego gospodarza, a ma nie być niesprowiedliwością: wywłaszczać wielkiego? Tu rząd sam sobie przeczy. A zresztą i tu jest zastrzeżenie, boć projekt powiada, że tylko „głównie“ ma być wywłaszczana większa własność. Mówca dał następnie szkic, w jaki sposób wywłaszczenie się będzie odbywało. Opisuje przywiązanie do ziemi i pyta w końcu: czy rząd sądzi, że to wszystko odbywać się będzie spokojnie? — że ludność polska, tak łatwo zapalna, bez oporu pozwoli się wyrzucać ze swoich siedzib? Opór ten — powiada — doprowadzi do wykroczeń przeciwko ustawom, zaburzenia się zwiększą, wtenczas bez policyjnych środków się nie obejdzie. Mówca charakteryzuje dążności rządu skierowane ku osiedlaniu ludności. Te środki i dążenia — powiada — dowodzą, jak bardzo rządowi zależy na wytworzeniu stale osiadłej ludności. Czyż projekt wywłaszczenia nie znajduje się w sprzeczności z temi dążnościami?... Rzekome ograniczenia prawa wywłaszczenia nic nie znaczą wobec faktu, że łamie się zasadę nietykalności prawa prywatnej własności. — Szczególny nacisk położył ks. kardynał Kopp na fakt, że komisya kolonizacyjna ma otrzymać prawo wywłaszczenia majątków kościelnych prócz kościołów i cmentarzy. Przeciwstawia temu religijność ludności polskiej, dla której katolik tyle znaczy co Polak i znowu zadaje pytanie, jak sobie rząd wyobraża zachowanie się ludności polskiej przy wywłaszczeniu któregokolwiek majątku kościelnego. Wyraża przekonanie, że będzie potrzeba tylko iskrę rzucić między lud — a bez gwałtów się wywłaszczenie nie skończy w żadnym przypadku. Ks. kardynał Kopp nie wierzy, by wywłaszczenie naprawiło stosunki na Wschodzie, by przyczyniło się do uspokojenia ludności polskiej i dla tego ustawie tej jest przeciwny.

Pod koniec wykazał mówca bezpodstawności kilku nowych zasad, które się pojawiły razem z projektem wywłaszczenia, mianowicie jakoby ten, kto ma prawo do bytu, miał także prawo brać sobie to, co mu do tego bytu jest niezbędnie potrzebne. Zasadę

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

75

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Otrzymawszy wolność mordowania panów rozzuchwaleni chłopi pod naczelnem dowództwem łotra Jakóba Szeli, chłopa ze Smarzowy, utworzyli bandy zbójeckie, urządzali napady na dwory t. zw. „rabacye,“ mordowali i rabowali „ciarachów“[1]) bez różnicy wieku i płci, dopuszczając się przytem niesłychanych, do opisania niepodobnych okrucieństw[2]). Z zemsty osobistej wymordował Szela całą rodzinę Boguszów. We wsi Kamienicy zginęli dwaj bracia Górscy, w Głobikowej klęczący przed obrazem Chrystusa uczony Słotwiński, odznaczający się dobroczynnością dla ludu. Zrabowane sprzęty, suknie, srebra i klejnoty zwożono do chaty Szeli a on dzielił się łupem ze starostą Breinlem i z chłopami[3]).

Bandy pijanej czerni chłopskiej, grasujące po ziemi Tarnowskiej, przeniosły się w Bocheńskie i Rzeszowskie, lecz ten drugi obwód ocalał prawie dzięki ludzkości i energii generała Legeditsa, Węgra. Także w Jasielskiem, gdzie poeta Winc. Pol, między innemi został cepami zbity i pokaleczony, Sanockiem, Sądeckiem i Wadowickiem chwytali chłopi powstańców i odstawiali do cyrkułów. Nie uniknęły napadów nawet kościoły i klasztory, jak klasztor i kościół w Staniątkach, który został przez chłopów zrabowany

[1]) „Ciarach“, pogardliwa nazwa „czarno“ ubranych surdutowców czyli panów, nadawana przez lud wiejski, ubierający się do niedawna jasno i jaskrawo. —

[2]) Gorzałka to i zaciekłe podburzanie wroga doprowadziły do najwyższego stanu zdziczenia i barbarzyństwa lud wiejski Galicyi, ten dobry i pobożny, lecz ubogi i nieoświecony lud polski, że zwrócił się na starszych swych braci; niepomny w zaślepieniu i szaleństwie, co czyni, nietylko, jakie spełnia zbrodnie, ale i jaką hańbą okrywa te karty dziejów porozbiorowych, dziejów odrodzenia narodu, którego on sam jest podstawą i największą częścią składową; nie myślący o tem, jak ten cały naród polski już przez chciwych i okrutnych wrogów rozdarty, umęczony i obrabowany; nie rozumiejący, jak ku radości schlebiających mu chwilowo wrogów, opóźnia się to odrodzenie narodu, mające właściwie nastąpić na podstawie oświaty i podniesienia się ludu, na podstawie miłości i współdziałania w pracy wszystkich stanów.

Rozbestwieni chłopi mordowali i znęcali się w okropny sposób nad mieszkańcami dworów wiejskich, nie zważając ani na upomnienia, zaklęcia, prośby, płacze, nawet na wystawiony Przenajświętszy Sakrament. W czasie mrozu, w nocy, wyciągali nieszczęsne ofiary z pościeli i zbite, pokaleczone, prawie nagie pędzili je do cyrkułów, lub wieźli na gołych wozach, bijąc je jeszcze i pozwalając, że nieszczęsne istoty wisząc z wozów, tłukły się głowami po drodze. Dzieci zabijali od jednego zamachu, lub wbijali na pal, panów kładli na ziemi pomiędzy dwie deski i tak ich na pół piłami przeżynali, a mordując cepami, kosami i widłami zadawali okropne długotrwałe męczarnie. Oświecały te okropne sceny płomienie podpalonych dworów a wśród trzasku ogni rozlegały się nad mordowanemi ofiarami dzikie okrzyki złorzeczeń, szyderstw, naigrawań się i przekleństw pijanej tłuszczy. Ze zrabowanych drogocennych rzeczy, których wartości chłopi nie znali, korzystali żydzi, zabierając za bezcen kosztowności, klejnoty, sprzęty i ubiory, a banknoty na znaczne sumy jako papierki bez wartości. —

[3]) Tyle zamordowanych ofiar na swem sumieniu mającemu temu rozbójnikowi nadał później rząd austryacki złoty order *Bene merenti* (Dobrze zasłużonemu) i znaczne gospodarstwo wiejskie na Bukowinie. — Sokołowski, IV, 1774.

„Salus publica — summa lex“ (dobro publiczne, to najwyższe prawo) tę zasadę ograniczyło prawo kościelne i złagodziło je.

Taka była treść pięknej mowy J. E. ks. kardynała Koppa.

Teraz przypomnieć należy, że J. E. ks. kardynał nie uchodzi pomiędzy Polakami za przyjaciela naszego narodu, częstokroć odzywały się w prasie polskiej głosy zarzucające temu dostojnikowi wyraźnie antypolskie usposobienie. Nie można też zataić, że książe biskup wrocławski niejedno uczynił, nad czem społeczeństwo polskie nie mogło inaczej, jak tylko boleć. Tą mową jednak stwierdził J. Eminencya, że nie brak mu zrozumienia naszego położenia oraz, że nie uważa za wskazane drakońskiemi zarządzeniami usposabiać nas źle wobec państwa i niemczyzny. Skarżył się wprawdzie J. E. ks. kard. Kopp na radykalizm polski. Żałować należy, że nie rozwiódł się szerzej nad tą materyą. Sądzimy, że J. E. ks. kardynał o radykalizm pomawia te koła polskie, które hołdują t. zw. polityce ostrego tonu. Nie możemy jednak uznać, aby ten kierunek miał być w wysokim stopniu niebezpieczny dla państwa. W niczem on państwu dotychczas nie zaszkodził, a wnosząc ze słów pruskich ministrów, którzy się zawsze na t. zw. „radykalną prasę polską“ powołują przy obronie swych projektów antypolskich, chyba mniemać by trzeba, że on dla nas Polaków szkodliwy.

Hakatyści lubią się w celach agitacyjnych posługiwać wycinkami z t. zw. „gazet radykalnych“ i sprawiają tem wielkie wrażenie, jednakże poważniejsi badacze t. zw. „niebezpieczeństwa polskiego“ w zupełnie czem innem upatrują „niebezpieczność“ naszą, a mianowicie w naszych bankach i spółkach, w kółkach rolniczych i, towarzystwach, w Pomocy Naukowej i t. d., a wiadomo, że wszystkie te instytucye powstały bez współudziału jakiegokolwiek po naszej stronie „radykalizmu.“

To, co się zazwyczaj rozumie pod pojęciem radykalizmu, dążność wywrotowa, rewolucyjna u nas absolutnie nie istnieje. Istnieją tylko różnice w tonie, różnice w temperamencie polemiki, w sposobie wyrażania się. Może to być czasem nieprzyjemne, ale radykalizmem we właściwem zrozumieniu tego słowa to nie jest.

Byłoby bardzo pożądaną rzeczą, aby książe biskup wrocławski głębiej wniknął w istotę tego, co nazywa radykalizmem polskim, a przekonałby się że nastrój ten wywołany jest przez nierozumną politykę antypolską, że jestto tylko echo tych ciosów, które w nas uderzają. Biją nas, więc krzyczymy z bólu i gniewu, gniotą nas, więc się bronimy, niepokoją nas, więc się niepokoimy, traktują nas jak wrogów, więc i my nie ufamy i staliśmy się wielce podejrzliwi — oto cały nasz radykalizm. Objaw zupełnie logiczny i naturalny, z którego wrogowie nasi potrafią mocne kręcić stryczki.

Pomijając więc to, co J. E. ks. kardynał Kopp powiedział o radykaliźmie polskim, mowa jego była owiana duchem prawdziwej tolerancyi katolickiej, była zasadniczem i głębokiem potępieniem projektu o wywłaszczeniu. Nie mógł mówić inaczej pod względem treści biskup katolicki, lecz mógł swej mowie nadać taką formę, że treść jej stałaby się iluzoryczną. Tego nie uczynił ks. kardynał Kopp, przeciwnie całą swą wielką powagę położył na szali przeciwnej wywłaszczeniu, o tem świadczy wielkie wrażenie, jakie ta mowa w izbie wywarła. J. E. ks. kardynał Kopp położył bezsprzecznie wielką zasługę około naszej sprawy, a zadał rządowi dotkliwy cios. To też „Schles. Ztg.“ natychmiast powątpiewa o narodowo niemieckiem usposobieniu biskupa, ta sama gazeta, która nie mogła się dość nachwalić patryotyzmu Jego Eminencyi, gdy pod wpływem swych doradców uniemożliwił odbycia się wieca katolickiego w sprawie polskiej nauki religii.

U hakatystów tylko ten może rościć prawa do zaszczytnego tytułu pa-

---

a księża uwięzieni. W ciągu czterech dni zniszczono 149 dworów, a do jednego tylko Tarnowa zwieziono 146 trupów. Okropną śmiercią przez zdziczałe tłuszcze zbójeckie pomordowanych zginęło przeszło 2000 osób z różnych stanów.

We wschodniej Galicyi tylko w Samborskiem w jednej wsi Horożanie powstańcy, wzywający chłopów do udziału w powstaniu, zostali przez nich wymordowani.

Nie znajdując słów usprawiedliwienia na tak wielką zbrodnię, jak rzeź galicyjska, należy przecież dodać, że w Galicyi może najwięcej z ziem Polski doznawała ucisku ludność wiejska wskutek pańszczyzny, głównie przez rządców dworów i zależnych od dworu mandataryuszy. „Szczególnie wielkim stał się wyzysk ludu“ — pisze T. Rutowski według danych statystycznych — „gdy zakładano liczne gorzelnie i sadzono ogromne obszary ziemniaków (kartofli). Uprawa tychże pochłaniała mnóstwo rąk i pańszczyzny nie wystarczało, bo gdzie było 1000 dni robocizny tam trzeba było 3000; zaczął się więc ucisk ludu zwłaszcza u dorobkiewiczów, nieznających tego ludu. Ziemniaki stały się jedynem pożywieniem i wydały generacyę nikłą i chorowitą, wódka przelewała się, garniec za 12 krajcarów, więc kraj pił, chłop pił bez upamiętania, demoralizował się aż do zbrodni.“ Ten ucisk i wyzysk ludu widzieli mężowie zacni i światli, ale nie było ich wielu. Ci też czynili u rządu starania, ażeby pańszczyzna została zniesiona, lecz Metternich wolał popełnić nikczemne łgarstwo i rozgłosił, że przygotowane powstanie było buntem przeciwko pańszczyźnie[1])

[1]) Limanowski, 282.

3 Dalszy przebieg powstania r. 1846.

a) W Krakowskiem i w Galicyi Zachodniej.

Wobec tak okropnych wypadków kierownicy powstania w Krakowie chcieli odwołać wybuch powstania (18 lutego), ale postanowienie takie było już zbyt spóźnione i w dalsze strony na czas doniesione być nie mogło. Sami też przywódcy nie zastosowali się do tego rozkazu i, głównie za sprawą najgorliwszego ze wszystkich Dembowskiego, rozpoczęli w Krakowie powstanie dnia 21 lutego. Czterystu powstańców walczyło po ulicach Krakowa przez dwa dni z austryackiem wojskiem, aż rozeszła się wieść:

— Ogromna armia powstańców ciągnie z lasu Bielańskiego na Kraków!

Przerażony tą wieścią generał austryacki Collin opuścił cichaczem miasto i udał się za Wisłę na Podgórze[2]), a stamtąd do Wadowic (22 lutego)[3]). Kraków był teraz znowu wolny, ustanowiono więc zaraz rząd narodowy, a na trzeci dzień ogłoszony został dyktatorem Jan Tyssowski (24 lutego). Tak Tyssowski, jak i przed nim Goczkowski, wystąpili przed zgromadzonym ludem jako członkowie Rządu Narodowego powstającej Polski i ogłosili obszerny manifest do narodu[4])

[2]) Podgórze, miasto przy Krakowie, po prawej stronie Wisły.

[3]) Wadowice, miasto w połudn.-zachodniej stronie od Krakowa.

[4]) Manifest ułożony podobno przez Libelta opiewa:

— Jeżeli narodowość polska niema zupełnie zaginąć, konieczną jest walka przeciwko najeźdzcom, która rozpoczęła się w granicach całej dawnej Polski. Jest nas 20 milionów, powstańmy razem jak jeden mąż, a potęgi nasej żadna nie przemoże siła; uzyskamy wolność, jakiej dotądz

tryoty, kto codziennie zjada po kilku Polaków na surowo. Prawdziwego patryotyzmu, który chroni swych ziomków od głupstw, szowinizm hakatystyczny uznać nie potrafi. Jestto i dla nas przykład bardzo pouczający....

Projekt wywłaszczenia w delegacyi austryackiej.

Istnieje poszanowania godna zasada grzeczności międzynarodowej, opiewająca, że jedno państwo nie powinno się mieszać do wewnętrznych spraw państwa drugiego. Podobnie jak jest znakiem nietaktu i złego wychowania, jeżeli poszczególny człowiek, nie pytany o sąd lub radę, pozwala sobie krytykować stosunki domowe bliźniego, tak też naganném by było, gdyby to chciało czynić jedno państwo wobec drugiego.

Jednakże zasada ta ma tylko ograniczone i względne znaczenie. Jeżeli np. nasz sąsiad czyni w swym dom coś, co nas słusznie niepokoić może, co zagraża bądź to nam samym, bądź członkom naszej rodziny, bądź powszechne jest zdolne wywołać zaniepokojenie lub zgorszenie, natenczas mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek przestrzedz go przed skutkami jego czynów, a nawet w razie grożącego niebezpieczeństwa poprosić o pomoc służbę bezpieczeństwa, aby zachować siebie i innych od prawdopodobnych wyników jego szkodliwej działalności.

To samo odnosi się także do państw. Historya też uczy dostatecznie, że po wsze czasy uznawano i wykonywano prawo interwencyi. My Polacy szczególnie dotkliwą odebraliśmy naukę v tej mierze, gdyż naszą Polskę podzielono na tej podstawie. Wprawdzie przy podziałach Polski prawo interwencyi było tylko płaszczykiem, wstydliwym listkiem figowym, którym silono się zakryć nagość brutalnych apetytów zachłannych.

Nie potrzeba dodawać, że prawo interwencyi należy tylko wykonywać w ostatniej ostateczności. Są jednak jeszcze inne sposoby, za pomocą których może jedno państwo wpływać na drugie. Może się to dziać bądź to przez prasę, bądź za pomocą not dyplomatycznych, bądź przez dopuszczenie w ciałach parlamentarnych dyskusyi na temat polityki odnośnego państwa. Słowem wiele dróg prowadzi do Rzymu.

Ponieważ jednak wszelkie oficyalne mieszanie się do spraw państwowych ma bardzo przykry przysmak i jest wielce niebezpieczne, więc rządy są w tej mierze słusznie nader powściągliwe. Natomiast mniej ostrożne potrzebują być parlamenty. Tam z mniejszem niebezpieczeństwem powiedzieć można, co się myśli, a przedstawiciel rządu może zająć takie stanowisko, że bez naruszenia godność interesowanego państwa dowie się ono jednak, jakie wobec jej polityki panuje usposobienie.

To się stało po raz wtóry w Austro-Węgrzech. Na posiedzeniu delegacyi węgierskiej przedłożył baron Aehrenthal, minister spraw zewnętrznych, swoje expose, lecz o Niemczech i trójprzymierzu wspomniał tylko bardzo krótko, tak krótko, że to aż podpadło pewnemu niemieckiemu delegatowi. Prof. Głąbiński zaś wygłosił w czwartek na posiedzeniu delegacyi austryackiej długą mowę, w której potępił antypolską politykę pruską i wskazał na ekspansywne dążności Niemiec. Podstawową myślą mowy Głąbińskiego było: nie spuszczać się na trójprzymierze, lecz postarać się o sojusze z Francyą i Anglią.

Dotychczas — to podnieść należy— byli Polacy główną podporą trójprzymierza, które w Austro-Węgrzech oprócz Niemców rzeczywistych zwo-

---

Ale niedługo trwała ta radość, a wszelkie dochodzące wieści o powstaniu i jego powodzeniu w ziemiach polskich były przesadzone. Nie było powstania w całej Polsce, jak mylnie głoszono, lecz wybuchły tylko małe ruchawki w okolicy Krakowa, w Chrzanowie, w Krzeszowicach i w Wieliczce, skąd uzbrojeni górnicy weszli spiesznie do Krakowa. Ruszyli się także górale w Tatrach, a mianowicie w Chochołowie organista Jan Andrusikiewicz, żołnierz z 1831 roku i ksiądz proboszcz Józef Kmietowicz zebrali w jednej dobie 500 górali uzbrojonych w kosy, zajęli koszary straży skarbowej i pobili strażników austryackich i chłopów z Czarnego Dunajca [1]). Ale te drobne powstania po kilku dniach zostały stłumione przez wojsko i straż skarbową austryacką.

W Krakowie dyktator Tyssowski, zacny i gorący patryota, nie miał zdolności na naczelnego wodza w ówczesnych warunkach i pozostawał zupełnie pod wpływem młodego, pełnego zapału lecz niedoświadczonego Dembowskiego [2]). Chciano wprawdzie obalić dyktaturę i na miejsce Tyssowskiego mianować profesora uniwersytetu Michała Wiszniewskiego, znanego autora *Historyi literatury* (25-go lutego), ale plan ten nie powiódł się.

Ażeby stłumić rzeź szlachty wysłał Tyssowski do powiatu Boheńskiego oddział 600 powstańców pod dowództwem Suchorzewskiego. Ale nie było zdolnych oficerów, a młodzież, chociaż patryotyczna i dzielna, nie była w boju wyćwiczona, więc też pod Gdowem [3]) oddział ten otoczony został przez podpułkownika austryackiego Benedeka i przez chłopów rozbity i w trzeciej części w pień wycięty został (26-go lutego). Na drugi dzień wyruszyła z Krakowa uroczysta procesya, której celem było przywieść do opamiętania rozszalałe chłopstwo. Wzięło w niej udział bardzo wielu księży i ludu, a na czele postępował przebrany za chłopa Dembowski z krzyżem w ręku. Lecz tymczasem już powrócił z Wadowic generał Collin, a żołnierze jego w Podgórzu rzucili się z bagnetem na bezbronnych uczestników procesyi. Zginęło wtedy wiele ludzi, a jeden z pierwszych padł skłuty bagnetami Dembowski (27-go lutego).

(Ciąg dalszy nastąpi).

nie było na ziemi, wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którem każdy, według zasług i zdolności, z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, w którem nie będą panować żadne przywileje, w którem każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie i rodziny, w którem upośledzony na ciele lub na duszy znajdzie bez upokorzenia niechybną pomoc całego społeczeństwa, w którem ziemia dzisiaj przez włościan warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytości bez żadnego wynagrodzenia, a poświęcenie się sprawie narodowej z bronią w ręku będzie wynagrodzone ziemią z dóbr narodowych. — Limanowski, *272, 273.*

[1]) Ks. Kmietowicz i Andrusikiewicz musieli się poddać nadciągającym większym siłom austryackim i wraz z trzema góralami skazani zostali na długoletnie więzienie w „Grajgórze“ (Spielberg). — Sokołowski, IV, 1775.

[2]) Dembowski jako sekretarz Tyssowskiego zorganizował w Krakowie klub rewolucyjny, który ogłosił: zniesienie pańszczyzny, czynszów, danin i wszelkich darmochów; parobkom uposażenie z dóbr narodowych; rzemieślnikom urządzenie warsztatów narodowych. — Żydów zrównano w prawach obywatelskich z chrześcianami. Zniesiono odrębność klasową szlachty i skasowano wszelkie tytuły. — Limanowski, *273, 274* (według Dziennika Rząd. Rzeczyposp. Polskiej 1846, Nr. *2*).

[3]) Gdów, pomiędzy Bochnią a Krakowem.

lenników nie ma. Fakt, że teraz Polacy występują w pewnej mierze przeciw trójprzymierzu, jest dla trwałości tej kombinacyi politycznej złą przepowiednią.

Wobec ruchliwej polityki króla angielskiego, który potrafił Niemcy otoczyć pierścieniem sojuszów i umów. dla Niemiec przyjaźń z Austryą ma olbrzymie znaczenie. Nie tai się z tem wcale rząd niemiecki. Mimo to uprawiają w Prusach politykę taką, która dotychczasowych zwolenników sojuszu z Niemcami a Austryą przemienia w jego przeciwników.

Byłoby niesłusznem mniemać, że Polacy austryaccy z prostej chęci odwetu opowiadają się przeciw sojuszowi z Niemcami. Powód właściwy spoczywa głębiej. Polityka antypolska Prus nie jest oderwanym jakimś objawem, lecz wypływa logicznie z charakteru i tradycyi państwa pruskiego. Ten charakter i tradycya zaś wyraża się wiernie w jednem słowie: zaborczość. Zaborczość pruską wykazać łatwo i niezbicie na podstawie historyi. Tylko przez zabory wzrosły Prusy do dzisiejszej potęgi. Bismarck wprawdzie powiedział, że Prusy są saturowanem państwem to znaczy, że są nasycone ziemią i szerzej się rozpościerać nie myślą. Jednakże już mnogo lat upłynęło od tego oświadczenia, potężnie też od tego czasu rozwinął się hakatyzm i idea wszechniemiecka. Dziś wszechniemcy rozglądają się ciekawi po świecie, szukając łakomemi oczyma, coby pochłonąć mogli. Zwracają więc oczy na niektóre prowincye francuskie, na ziemie leżące w nizinach Renu, na Szwajcaryę, na posiadłości austryackie wraz z Tryestem, na bałtyckie prowincye należące do Rosyi, przedewszystkiem zaś na żyzne równiny dawnej Polski, po których krocząc możnaby rozpostrzeć się w Azyi Mniejszej, gdzie dziś już budują się koleje i pracuje kapitał niemiecki.

Oczywiście są to dziś tylko marzenia pewnej grupy szowinistów niemieckich i rząd oficyalny nie ma z tem nic wspólnego. Jednakże ciągłe zbrojenia na lądzie i morzu, ciągłe zabiegi rozszerzenia swych wpływów handlowych i politycznych po świecie bardzo idą na rękę tym marzeniom wszechniemieckim. Zresztą każde dziecko wie, że idea, jeżeli się przyjmie, powszechnie silniejsza jest od rządów. Ponieważ można się obawiać, że hakatyzm wszechniemiecki kiedyś może uzyskać przewagę w Niemczech, boć już dzisiaj ma ją w Prusach w stosunku do Polaków, należy sądzić, że także oficyalna polityka niemiecka ulegnie jego parciu, a wtedy łatwo by przyjść mogło do wielkich konfliktów. Być połączonym przez sojusz z takiem państwem jest rzeczą bardzo niebezpieczną, zatem należałoby za wczasu wycofać się z ścisłych z niem stosunków, a ponieważ bez przyjaciół żyć nie można, szukać ich po stronie przeciwnej Prusom i powiększając przez to obóz przeciwny, powstrzymać Prusy od kroków nierozważnych.

Tak mniej więcej rozumują Polacy w Austryi i rozumowaniu temu niepodobna odmówić słuszności.

Mowa Głąbińskiego była więc ostrzeżeniem, zwróconem w stronę Berlina, ostrzeżeniem, które powinno w Niemczech dać wiele do myślenia. Nie wierzymy, że rząd pruski ulęknie się czwartkowej mowy prezesa Koła polskiego, jednakże przekona się, jakie spustoszenia czyni jego polityka antypolska w dziedzinie międzypaństwowych interesów Niemiec. Naród niemiecki zaś będzie bogatszy o jedno doświadczenie i może ostrzej jak dotychczas zacznie walczyć o należyte wpływy w sejmie, boć ostatecznie na nim skrupią się błędy popełniane przez rządzących. Może też być, że parlament niemiecki, ta prawdziwa reprezentacya niemieckiego narodu, cofnie się przed polityką hakatystyczną, która i tam w postaci klauzuli antypolskiej w projekcie o zebraniach i stowarzyszeniach zaziera.

Rzut oka na literaturę bieżącą.

Jerzy Żuławski: „Dyktator.“

Treść dramatu „Dyktator“ stanowi powstanie w r. 1863.

„Krwawą i świętą burzą“ nazywa autor ten ruch zbrojny, nie obmyślany, nie zorganizowany i tak prędko uśmierzony, — w którym nie wiemy, co więcej podziwiać: czy „bohaterstwo“ większe, że niepłodne, czy nieopatrzność wodzów, którzy wiedli na pewną zgubę zastępy szlachetnych zapaleńców — „duchy przeczyste, słabe, lub niegodne“.

Langiewicz, wódz powstania, przez kilka dni piastujący godność dyktatora, jest główną osobą dramatu, lecz nie bohaterem we właściwem znaczeniu. Umysłem i sercem wyższy nad pospolitość, nie dorósł jednakże do wysokości swego zadania. I to poczucie własnej niemocy wobec ogromu odpowiedzialności i brzemienia obowiązków stanowi konflikt dramatu. Autor nie skupia uwagi czytelnika na głównej postaci dyktatora, lecz za to przedstawia liczny zastęp postaci prawdziwie bohaterskich. Bo czyż nie są bohaterami wszyscy uczestnicy tej rozpacznej walki?

Owe niedorostki, co wprost z ławy szkolnej spieszą do obozu na nieznane, nieprzeczuwane trudy i śmierć męczeńską — owi sędziwi starce, którym nie dosyć było wysłać synów na plac boju, lecz sami w drżące dłonie brali bagnet i legli śmiercią walecznych — owi wieśniacy, w których ciemnych prostaczych umysłach zaledwie zajaśniały pierwsze błyski świadomości, że to sprawa wspólna; wspólna ojczyzny obrona...

Wszystkich pchała do czynu
ta moc, co w latach ucisku się budzi
i przez kraj idzie, jako ognia fala,
serca i strzechy na domach zapala,
i na śmierć ludzi miecie wśród zawiei
krwawych walk — nawet gdy nie ma nadziei,
. . . .
a nie własną wolą
w tę drogę pchnięci, jeno dolą, dolą!

Pomiędzy tem wytężeniem energii i zapału, a brakiem trzeźwej rozwagi i talentu organizacyjnego — znów przepaść, dysproporcya, znów konflikt tragiczny, — słowem materyał godny wielkich tragików o zakroju Szekspirowskim.

Więc autor świadom wielkości podjętego zadania pracy swej nie wykończa, lecz nadaje jej charakter urywkowy, niedomówiony — taki właśnie, jaki cechuje ową beznadziejną walkę.

Żadna z postaci nie jest wybitnie i szczegółowo scharakteryzowana, lecz bierze niejako oświetlenie z ogólnego tła przepojonego tragizmem.

Stosunek miłosny Langiewicza i Henryki Pustowójtowny[1]) zgodnie z prawdą historyczną traktowany jest epizodycznie. Henryka nie była bynajmniej ekscentryczną emancypantką, za jaką niektórzy współcześni i potomni ją uważali — lecz osobą niezwykłego hartu ducha i zdolności poświęcenia. Przywdziawszy mundur adjutanta, przejęła się zupełnie powagą i karnością wojskową — któremi potrafiła imponować swym towarzyszom. Złośliwe posądzenie, jakoby jedynie miłość ku Langiewiczowi popchnęła ją na tę niezwykłą drogę — upada w obec zalet

[1]) Henryka Pustowójtnowa, pochodzenia rosyjskiego, lecz gorąca patryotka Polska, towarzyszyła Langiewiczowi podczas powstania jako adjutant i w tym charakterze oddała mu ważne usługi na polu bitwy.

W sprawie młodzieży polskiej,

którą pismo nasze o ile możności się zajmuje, odebraliśmy kilka listów, z których dla braku miejsca tylko dwa przytaczamy. Sąd tam wyrażony nie jest zbyt pochlebny dla młodzieży naszej. Zawsze jednak o tem pamiętać należy, że nie dotyczy on gorliwych czytelników pism polskich, lecz tych licznych niestety młodzieńców, którzy od pisma lub książki stronią. Niestety nie mamy sposobu przemówić do tych opieszałych. Niechaj więc młodzież, garnąca się do oświaty pouczy swych niebacznych kolegów, jak o nich myślą osoby poważne, którym przyszłość młodzieży, a z nią narodu na sercu leży. Ci zaś, którzy postępują w myśl listów poniżej podanych, niechaj przyjmą pochwały tam wyrażone i wytrwają w dobrych i pożytecznych usiłowaniach.

Listy wspomniane brzmią:

Z prowincyi, *2. II. 1908.*

W sprawie specyalnego pisma dla młodzieży pozwalam sobie przesłać Szanownej Redakcyi kilka uwag.

Zgadzam się najzupełniej z autorem artykułu w numerze ostatnim: „Praca około młodzieży‘‘ — że ta praca należy do najważniejszych naszych zadań. — Młodzież nasza — na ogół wziąwszy — zwłaszcza młodzież kupiecka i rzemieślnicza, odznacza się dziwną płytkością i ubóstwem umysłowem. Do wszelkiej pracy umysłowej leniwa, nie odczuwa nawet potrzeby nauki i bardzo mało okazuje zajęcia dla kwestyi leżących poza obrębem jej osobistych interesów. Nie sądzę więc że pismo wyłącznie poświęcone młodzieży miałoby u nas powodzenie takie, jakiego potrzebowałoby dla zapewnienia sobie bytu. Pismo takie musiałoby być oczywiście obliczone dla średnio i mało wykształconych. Młodzież uniwersytecka bowiem, obracając się w środowiskach ruchu umysłowego i przykładem kolegów zachęcona, znajduje dostateczną podnietę do umysłowej pracy.

Te zaś warstwy naszej młodzieży, o które nam chodzi najwięcej, małoby korzystały z pisma specyalnego — z tej prostej przyczyny, że zbyt mało czytają. Pismo jak „Praca‘‘, jest pod każdym względem stosowne i wystarczające dla młodzieży — a jakże stosunkowo mało czytają je młodzi kupcy i rzemieślnicy! — Mam to przekonanie, że młodzieniec z małem wykształceniem szkólnem mógłby czytając pilniej „Pracę‘‘ zdobyć spory zapas wiedzy, nabyć znajomości języka i zaznajomić się z historyą i piśmiennictwem narodowem.

Artykuły polityczne pouczające go o naszem położeniu rozbudziłyby jego drzemiące instynkty godności narodowej, wychowałyby go na obywatela i szczerego patryotę. — Ale nasz prześwietny młodzieniec zadawalnia się pobieżnem przerzuceniem kart, przeczyta dowcipy, kronikę miejscową i jaką humoreskę, w najlepszym razie kawałek powieści — i zadowolniony z siebie najzupełniej. Czytanie książki poważniejszej np. Szkice historyczne Szajnochy, Sejm czteroletni, ks. Kaliński i podobnych — byłoby dla niego nadmiernym wysiłkiem.

Nie pisma dla młodzieży nam tymczasem potrzeba, lecz bezpośredniego oddziaływania na młodzież, któreby ją do czytania zachęciło i wykształciło, a więc odczytów popularnych, zajmujących i barwnych, oderwanie młodzieży od knajpy, karciarstwa i tych bezmyślnych rozrywek, które pochłaniają ich czas i zdrowie.

Gdyby nam się udało wywołać wśród młodzieży żywszy ruch umysłowy — wykształcić ją w kierunku narodowym — wtedy istnienie takiego pisma stałoby się naglącą potrzebą.

---

i zachowania się tej niezwykłej kobiety.

Natomiast uczucie wzajemnego uwielbienia i sympatyi spotęgowanej wspólnem cierpieniem, jakie wytworzyło się pomiędzy osobami tak ściśle duchowo spokrewnionemi, było po prostu psychologiczną konsekwencyą. Langiewicz w ciężkich chwilach rozterki wewnętrznej, miotany trwogą o losy narodu i honor swój osobisty zwraca się do Henryki z prośbą o współczucie.

Henryka zatem sercem odwzajemnia jego miłość, lecz nie oddaje się ani na chwilę roztkliwieniu naszym bohaterom. Nie czas zasiadać do biesiady życia, kiedy grzmią armaty i krew się leje...

I nie czas wodzowi upajać się dymem chwilowych hołdów składanych mu jako dyktatorowi. Czuje się nadto, że brzemię wielkości go przygniecie, że nie sprostał zadaniu. Urywkowemi słowy odpowiada na krzyki wojska i towarzyszów.

A już wprost przygnębiająco działa na czytelnika Akt IV — bitwa w Grochowiskach — decydująca losy powstania. Garstka powstańców z Langiewiczem chroni się do lasu, część wojska cofa się przed nieprzyjacielem. Dyktator zmieszany, przerażony, opuszcza oddział aby zebrać resztę rozproszoną. Na nieobecnego sypią się zarzuty, skargi, szyderstwa. Pustowójtówna wpada zrozpaczona lecz nie znajdując Langiewicza, wybiega, łamie ręce z rozpaczy.

Tymczasem dzielny pułkownik francuski Rochebrun cudów męstwa dokazuje w utarczce z Moskalami, kończącej się zwycięstwem. Pustowójtowna ranna w bitwie, lecz uradowana zwycięstwem przynosi radosną nowinę Langiewiczowi. Ale w twarzy jego nie widzi ani cienia radości, tylko boleść i głębokie zawstydzenie.

— Oto z pola schodzę — a kraj w niewoli, kraj we krwi, w pożodze, w mogiłach, moja bardzo wielka wina! Ja nie mam wiary, ja uchodzę żywy! bezsilny!

Ale choć Henryka podnosi go w oczach własnych, przypominając mu wielkie zasługi dawniejsze, męztwo w bitwach i zapewniając go o niesłychanem przywiązaniu, Langiewicz nie widzi przed sobą innej drogi, jak hańbę i tułactwo.

I tak zagasły dyktatorskie blaski! — woła Jeziorański, współzawodnik Langiewicza, któremu w szlachetnem uniesieniu ustąpił dowództwa, byleby osobistą zwadą nie wstrzymywać biegu wypadków.

Autor zgodnie z myślą przewodnią dramatu nie kończy go ze zniknięciem Langiewicza, lecz w pięknej, uroczystej scenie następnej ukazuje garść najmężniejszych, którzy na wiadomość, że las otoczony wrogami, czekają śmierci z rezygnacyą bohaterów.

„Nie po zwycięztwo my wyszli, lecz aby świadczyć krwią w bitew gromach, murach i dymie ,że — bój za wolność — to jest Polski imię!‘‘ — mówi Bohdan najsilniejszy duchem w tej małej garstce, składającej się z księdza, wieśniaka i kilku młodzieńców.

Już świta, promienie słoneczne złocą wierzchołki drzew, wśród których migają moskiewskie bagnety.

A ksiądz woła w uniesieniu:
Patria, ave!
Resurecturi te salutant![2])

M. G.

W dzisiejszych stosunkach ważniejszą jest kwestya przysparzania abonentów istniejącym już wydawnictwom, niż tworzenie nowych pism i rozpraszanie naszych i tak nielicznych sił dziennikarskich.

Bardzo ważnym czynnikiem w wychowaniu młodzieży mogą być Czytelnie dla kobiet, z których o ile wiem każda rozwija się pomyślnie.

Oby tylko nasza młodzież męzka więcej z nich korzystała.

Przyjaciółka młodzieży.

* * *

Kobylin, dnia 2 lutego 1908.

Szanowna Redakcyo!

Z radością powitałem głosy w naszej ukochanej „Pracy“, pochodzące od szlachetnej młodzieży, nawoływujące, ażeby się nią społeczeństwo więcej zajęło i wychowało na ludzi dla narodu użytecznych. Należy im się za to uznanie, iż sprawę tę poruszyli. Jednak większą radością napawa serce to, że znaleźli się mężowie szlachetnie myślący, którzy się tą sprawą zajęli i nie pozwolili jej upaść.

Młodzież dzisiejsza zaiste, obawy budzić może, jeżeli nadal nie będzie uwzględniana, albowiem niejednokrotnie smutno wśród niej wygląda. Lecz ażeby wydawać pismo osobne dla młodzieży, jak się tego domagał swego czasu korespondent górnośląski, to pozwalam sobie powątpiewać, ażeby to skutkowało.

Młodzież dzisiejsza stroni po większej części od czytania, stroni od książki, stroni od nauki. Mało zna co piękne, co wzniosłe, co zdobi, co uszlachetnia. Nie zna swych ojczystych dziejów. Oprócz Kościuszki, nie zna niejednokrotnie żadnego innego zasłużonego męża, a może i o nim mało jeszcze słyszała. Smutne to, lecz prawdziwe. Są jeszcze Bogu dzięki młodzieńcy, którzy się garną całą duszą do nauki, do wiedzy, by się stać użytecznymi ojczyźnie, ale to są wyjątki dość rzadkie.

Lecz skąd pochodzi to zobojętnienie wśród młodzieży, do tego, co każdemu Polakowi powinno być drogie?

Już w szkole używa się wszelkich starań, ażeby w dziecku wzbudzić wstręt do wszystkiego co ojczyste. Tam już poi się dziecko nienawiścią do wszystkiego co polskie. Przeszłość naszej ojczyzny, malowana bywa w najczarniejszych kolorach, a dziecko nie szukające wiedzy gdzieindziej w uprzedzeniu tem pozostaje i mniema, że nigdzie się gorzej nie działo jak w Polsce.

Dziś tam nie uczą czytać i pisać po polsku, więc jeżeli się tego w domu zaniedba, dziecko pozostaje nieukiem. Polskie czytanie sprawia mu wielki trud, cóż mówić o pisaniu?

Mamy dosyć pism polskich stosownych dla młodzieży jak „Praca“ np., a jednak młodzież mało je czyta. Namówić dziś młodzieńca, aby sobie zaabonował pismo jakie, to może zapisze na miesiąc, lub na kwartał, co najwyżej. Spytać się go dlaczego nie czyta? To powie, że niema czasu.

Wydanie pisma dla młodzieży, zdaniem mojem nie dopnie celu, albowiem oprócz tych, co już inne pisma abonują, mało by się takich znalazło, coby je zaabonowali. Pismo dla młodzieży można tylko wtedy założyć, gdy po miastach powstanie więcej towarzystw młodzieży, i gdy każdy członek takowe abonować musiałby przymusowo. Inną drogą się ono do młodzieży nie dostanie. W ten sposób tylko może ono osięgnąć swój cel.

Mamy przykład w Sokole. Widzimy jak chętnie się młodzież do tego towarzystwa garnie. Czemuż ta młodzież, która tak bardzo chętnie krzepi swe siły fizyczne, nie miałaby się zarazem starać o siłę ducha, czerpiąc takową w nauce? O zaiste! przy dobrej woli wszystko zrobić można. *A wola dobra jest, tylko mało jest takich, którzyby tę wolę poprowadzili* i *zamienili ją w czyn.* Praca to wdzięczna, którąby mogła przynieść obfite owoce w szlachetnych umysłach młodzieży polskiej, ale nie można jej podjąć pojedyńczo, gdy wszyscy pójdą luzem. Wprzódy łączyć się trzeba w towarzy-

Z teatru.

Stanisław Przybyszewski:

„Dla szczęścia“.

Dramat w 3 aktach.

Stanisław Przybyszewski należy do najciekawszych zjawisk artystycznych, jakie dotychczas ludzkość wydała. Jest to wspaniały maniak, błąkający się w zawrotnych kręgach stworzonych przez siebie teoryi i poglądach na człowieka, a raczej na to, co jego istotną treść stanowi: na duszę, która według niego najprawdziwiej objawia się w stosunku do kobiety, w miłości. Miłość u Przybyszewskiego nie jest owem bądź to zacisznem, bądź namiętnem uczuciem, doświadczanem przez miliony ludzi normalnych, dla których ona tylko przydatkiem i upiększeniem życia, mającem po za nią jeszcze inne wznioślejsze cele i wartości. U niego miłość stanowi treść i jądro życia, które po za nią jest tylko snem męczącym. U niego miłość jest jedynym stanem, jedynym objawem duszy, wszechwładną kosmiczną potęgą, budującą światy na to, aby je zniszczyć i samej skonać na ich gruzach, chucią zwierzącą, ślepą, nieokiełznaną, kroczącą po przez gruzy i trupy, nigdy nienasyconą elementarną żądzą, najwyższem prawem i zakonem. A jednak jest ona grzechem; jest złem, jak najwyższem złem jest kobieta, matka pierworodnego grzechu, budząca w mężczyźnie zły instynkt, z którego się zrodził grzech pierworodny i wiecznie się odradza.

Człowiek Przybyszewskiego tarza się ustawicznie w tej konwulsyi erotycznej, a ponieważ posiada w wysokim stopniu wyostrzoną świadomość zła i dobra, tj. sumienie, więc tem bardziej cierpi im głębiej się zanurza w ciemną otchłań szału, ratuje się dyalektyką, chwieje się pod wpływem żądzy i sumienia to w tę — to w tamtę stronę, lecz końcowo niechybnie płynie po fali zła, druzgocze w około siebie wszystko, co mu stawa na przeszkodzie i ginie nareszcie, gdyż żyje karzący, nieubłagany Bóg i odwieczne prawo, które najwyższą rozkosz: miłość połączyło z najwyższym bólem: śmiercią.

Nie potrzeba zaznaczać, że teorya ta stosowana do człowieka, jako typu, jest błędną. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że w poszczególnych wyjątkowych wypadkach sama rzeczywistość ją potwierdza. Historya, kryminalistyka dostatecznie to wykazała.

Przybyszewskiego jednak nic nie obchodzi człowiek normalny. Jego ludzie — to ludzie chorzy, neurastenicy, histerycy, alkoholicy, a więc osobniki, które zabiły w sobie odporność charakteru i siłę woli i powodują się zachceniami swych starganych, rozkiełznanych nerwów i są niewolnikami instynktów czysto zwierzęcych, a więc żywiołowych. Tylko pod tym kątem patrząc na rzeczy Przybyszewskiego, można je zrozumieć i wnikając w nie doznawać nie tyle wielkich wzruszeń, ile uczucia bezgranicznej wyrozumiałości.

Dramat Przybyszewskiego „Dla szczęścia“ jest tylko parafrazą tej starej, wielce jednostronnej i błędnej, lecz w swoim rodzaju wspaniałej teoryi. I tu miłość występuje jako wiecznie niszcząca potęga, kobieta, jako upiór wysysający życie i szczęście mężczyzny, sumienie, personifikacyą którego niemal jest Zdżarski, jako mściwy, wiecznie ironizujący, szyder-

stwa i szczepić w młodzież ducha patryotycznego, usuwając to, co szkoła nam stawia na przeszkodzie.

Wtenczas oświeciła by się młodzież i byłaby rzeczywiście, przyszłością narodu. *Fr. Chytry.*

Zamordowanie króla.

Dokonane swojego czasu — pisze Czesław Jankowski w warszawskim „Słowie“ — jakby w epidemicznem jakiemś następstwie szybkiem po sobie: zabójstwo prezydenta Carnota, króla Humberta, cesarzowej Elżbiety Austryackiej były aktem anarchicznego fanatyzmu. Całkiem inny charakter ma dokonane obecnie zamordowanie króla Karola portugalskiego i syna jego, następcy tronu. Jest to wykonanie wyroku wypływającego, by ją tak nazwać z republikańskiej racyi stanu.

Takaż przed stu laty z okładem, republikańska racya stanu zawiodła na szafot króla francuskiego Ludwika XVI., ostatniego z dynastyi Kapetów.

Różnica między uśmierceniem Ludwika XVI., a uśmierceniem Don Karlosa polega na tem, że sto lat temu zapamiętali republikanie francuscy, doszedłszy do przekonania, że nie da się ufundować Rzeczypospolitej we Francyi bez zgilotynowania panującego króla, pamiętali jednak o tem, że wyrok śmierci nie może być wykonany bez uprzedniego wytoczenia oskarżonemu procesu oraz przeprowadzenia



† **Karol I., król portugalski,**
zamordowany 1-go lutego 1908 r.

sądowych chociażby tylko formalności. Sankiuloci francuscy, o których się często wspomina jako o krwiożerczych, nawpół przytomnych bestyach, liczyli się jednak, choćby tylko na pokaz z prawem jeżeli nie boskiem to ludzkiem. Don Karlos portugalski zabity został — bez cienia nawet procesu i sądu. Zawadzał pochodowi Rzeczypospolitej; usiłował surową dyktaturą przeciąć jej drogę ku *absolutum dominium* w kraju, — tedy zastrzelono go; zastrzelono i syna jego, prawowitego, wedle zasad legitymizmu, następcę tronu, aby usunąć za jednym zamachem wszelkie możliwe komplikacye ze strony monarchizmu, jeżeliby mimo to zapragnął dziś lub jutro dochodzić jeszcze praw swoich na drodze formalnej.

Tak się *dziś* zmienia t. zw. formę rządu czyli ustrój państwowy... A nie mówmy, że wynalazek to szczególnych zwyczajów i obyczajów panujących gdzieś na skraju południowo-zachodniego półwyspu Europy. Portugalia nie jest odcięta murem chińskim od ogólnego — ducha czasu. To ludzkość, krocząca postępowo naprzód ku ideałom cywilizacyi i kultury, wydawać zaczęła owoce takiego — moralnego zwyrodnienia i rozpętanego nihilizmu.

Zbiorowe manifesty międzynarodowych lig powszechnego pokoju, altruistyczne deklaracye przeróżnych międzynarodowych związków ewolucyonistów socyalnych, gorące nawoływania neo-chrześcian: nie zabijaj! nie zabijaj! podniosłe teoretyczne deklamacye o braterstwie ludzi i ludów, najsubtel-

---

czy szatan, zrezygnowany naprzód złożyć swe berło przed chucią, aby ostatecznie zwyciężyć i przyprawić swą ofiarę bądź o obłęd zupełny bądź o śmierć samobójczą.

Słyszeliśmy zdania, jakoby ta sztuka Przybyszewskiego była równie niemoralną, jak cała jego dotychczasowa twórczość. Nie podzielamy tego zapatrywania.

Niemoralne są w znacznej większości farsy, w których autor dowolnie nazywa dobro złem, a zło dobrem i wprowadza przez to zamieszanie do pojęć widza. Tego jednak Przybyszewski nie czyni. On, który imion Boga i Matki Boskiej używa wprawdzie tylko jako figur retorycznych, który depce wszelkie formuły religijne, nie plwa na religię samą. Bóg i Jego prawa zawsze dopominają się u niego posłuchu i pogwałcone mszczą się straszliwie. Nie odwraca więc Przybyszewski starych wartości i nie jest apostołem nowej moralności — przynajmniej w nowszych swoich scenicznych utworach — jest on raczej artystycznym wyznawcą najskrajniejszego pesymizmu, pesymizmu, jaki tylko szatan, ten największy pesymista, może położyć między dogmaty swej wiary. Tak, jak wierzy Przybyszewski, może wierzyć Przybyszewski-artysta, Przybyszewski-człowiek tak wierzyć nie może, albowiem z tą wiarą żyć by nie potrafił.

Nową sztukę Przybyszewskiego zaliczamy do szeregu tych dzieł, które w literaturze trwałą zachowują wartość. Póki ludzie żyć będą, póty zgłębiać będą tajniki tej wielkiej zagadki, czem jest dusza ludzka. To też z zainteresowaniem będą śledzili twórczość Przybyszewskiego, która ma znaczenie dokumentu odnośnie do tak zwanej „nagiej duszy“ tj. do tego, co Francuz Zola nazwał zwierzęciem ludzkiem. Zwierza ludzkiego wielkim znawcą jest Przybyszewski — to jedna z jego chwał, druga i większa, że jest wielkim i potężnym artystą.

Kto był na przedstawieniu sztuki Przybyszewskiego, przekonał się, jak wielkie wymagania stawia ten autor do aktorów. Postaci Przybyszewskiego nie są to dowolne jakieś istoty, wzajemne oddziaływanie których ma wytworzyć dramat. Noszą one raczej swą tragedyę w sobie. To, co widzimy na scenie jest tylko finałem tych wewnętrznych walk i łamań, jakie przechodziły poprzednio, częściowe rozdarcie splątanego węzła, namotanego przez nieubłagane fatum teoryi Przybyszewskiego. Dramat nieskończony.

Jakże więc nasi artyści wywiązali się z trudnego zadania? Rozmaicie. Pan Junosza np. udowodnił, że jest prawdziwym artystą i zgotował nam swą grą estetyczną ucztę. Już bardzo dawno nie staliśmy tak pod urokiem czysto aktorskiej sztuki, jak w sobotę, patrząc na przepyszną grę p. Junoszy. Pani Bogusińska grała Helenę poprawnie i z wielką wewnętrzną prawdą. Pani Kozłowska bardzo pięknie wyglądała w swych bogatych i wytwornych toaletach, a p. J. Ryger, bardzo sympatyczny skądinąd artysta, walczył z swą rolą odważnie i przeważnie ze znacznem powodzeniem, jednakże mamy wrażenie, że mu ta rola nie zupełnie odpowiadała. Ideowo opanował ją, lecz technicznie nie kompletnie. Nie tylko Zdżarski go przygniatał, ale i Junosza.

R.

niejsze koncepcye praw zabezpieczających byt jednostki itp. itp. — wszystko to przeszywa raz po razie, jak krwawa smuga, błyskawica doraźnej, samowolnej egzekucyi, dbałej tylko o ustanowienie *faktu dokonanego,* tego dziś *ultima ratio* ogólnych stosunków społecznych, politycznych i ekonomicznych, opartych na urągającem wszelkim moralnym zdobyczom ludzkości: prawie silniejszego.



Królowa portugalska Amalia, wdowa po Karolu I.

Do tegośmy doszli.

Przełom — powiadają — jakiś staje się w dziejach ludzkości i przeto, jak za czasów Hamleta, świat z łożyska swego wychodzi i — chwilowo — przedziera się jakiemiś straszliwemi manowcami ku celom, inaczej niedostępnym...

Kto rękojmie da, że — tak jest? — Sąd — potomności któż dziś sformułuje bez chyby? Któż zaręczy i wiarę w nas wpoi, że to, na co dziś patrzymy, jest tylko pełnym przygód etapem, który nam, nam właśnie, wypadło—przetrwać, ile, że któremuś z pokoleń przypaść to musiało w udziale pierwej lub później?

Aby uwierzyć, że tak jest, że mamy dokoła siebie i przed sobą tylko jakąś niemiłosiernie ciężką dobę do — przetrwania, do przeżycia, do przetrzymania, musielibyśmy czuć, że idzie po ludzkości jakiś wielki poryw wzwyż, w dal, ku rzeczywistemu światłu i dobru... Musielibyśmy czuć w twórcach doby dzisiejszej — ukochanie ludzkości, rozgrzeszające poniekąd jeżeli nie uświęcające to, co, ku zdumieniu świata, dokonywane jest pod hasłem dobra powszechnego, zbawienia tegoż świata, potrzebującego niebywałych, doszczętnych przeobrażeń.

Ale my czujemy wciąż tylko: rosnącą nienawiść człowieka ku człowiekowi, ku bliźniemu, wyglądającą tylko sposobności, aby przemocą lub podstępem wydrzeć bliźniemu to, co posiadł. Czujemy wzmagające się pomiatanie ludzką jednostką, wydaną na łup nie zbiorowym interesom lecz najohydniejszym, najbardziej poziomym instynktom jednostek, które umiały zapewnić sobie bezkarność, podtrzymywaną przez brutalny a pospolity postrach.

Mnożą się fakty i układają się w coraz widoczniejszą, niedającą się zaprzeczyć, przeoczyć, zatuszować wygodnym optymizmem, syntezę. Na składowe czynniki tej złowrogiej syntezy „ducha czasu'' palec kładziemy dziś raz po razie we wszystkich dziedzinach życia, analizujemy je, piętnujemy i bezradni wobec tej przenikającej dziś wszystko, zatrutej atmosfery wołamy o — cud! o jakiś powiew świeży, któryby rozwiał gęstniejące wciąż miazmaty.

I znikąd powiew taki nie zalata. Zrywają się tylko od tej to od owej strony jakieś wichry potężne, zwiastujące na razie jakieś przesilenie, lecz rychło przechodzące w borę wytępiającą życie wszelkie lub w duszne sirocco.

I coraz tylko ciężej, wykonywując odruchowo, z dnia na dzień, rozpaczliwe wysiłki, dysze ludzkość, zbita na bezdroża...

* * *

W sobotę dnia 1-go lutego, między 6-tą a 7-mą wieczorem król Karol, w towarzystwie najstarszego dwudziestoletniego syna swego Ludwika Filipa ks. Braganzy, wracając do stolicy z letniej rezydencyi swojej w Villa Vicosa, wjeżdżał powozem otwartym w ulicę Arsenałową w Lizbonie. Za królem w drugim powozie jechała królowa Amalia, mając przy boku swoim drugiego księcia krwi, ośmnastoletniego infanta Manuela.



Manuel II, nowy król portugalski, syn zamordowanego króla Karola I, lekko raniony 1-go lutego 1908 r.

U wylotu ulicy Arsenałowej na plac Handlowy grupa rewolucyonistów zaatakowała oba powozy wystrzałami ze sztucerów. Król ugodzony śmiertelnie w szyję, w kark i w ramię w chwil kilka żyć przestał. Następca tronu otrzymał trzy postrzały w głowę; zbroczonego krwią i konającego zdołano przenieść do Arsenału, gdzie niebawem skonał.



† Ludwik Filip, królewicz portugalski, zamordowany dnia 1-go lutego 1908 r.

W drugim powozie, królowa Amalia zasłoniła syna własnemi piersiami. Królowa nie doznała szwanku, zaś infant Manuel otrzymał tylko lekką ranę, nie budzącą żadnych obaw.

Z arsenału przeniesiono zwłoki króla i następcy tronu, o godzinie 9-tej wieczorem, do rezydencyi monarszej.

Natychmiast po salwie, danej do powozu królewskiego, eskorta towarzysząca powozowi jęła strzelać do rozpraszających się rewolucyonistów, oficer ordynansowy króla — Figuorsa, jadący przy drzwiczkach powozu zabił jednego z rewolucyonistów; jeden z policyantów, zabił drugiego rewolucyonistę dognawszy go pod rauszem.

Królowa z infantem przybyli do pałacu królewskiego o 7-mej wieczorem.

* * *

Wyjaśnia charakter dokonanego morderstwa fakt, że policya lizbońska spodziewała się zamachu na króla, oraz energicznej akcyi ze strony przeciwników monarchii. Aresztowano w przeddzień przywódcę republikanów Alfonsa Costę, tudzież kilku wybitnych postępowców — separatystów. Wieczorem dnia 1-go lutego, podczas gdy wykonywano zamach na króla, li-

czna grupa rewolucyonistów uderzyła na dom znienawidzonego dyktatora Franco. Odparła ich gwardya cywilna.

Mordercy czatowali na króla w ulicy Arsenałowej, odziani w długie peleryny, pod któremi ukrywali karabiny swoje szybkostrzałowe.

* * *

Na tron portugalski wstąpił infant Manuel, drugi syn zamordowanego króla, urodzony 15 listopada 1889. Regencyi królowej matki nie będzie, gdyż król Manuel jest pełnoletni.

* * *

Zamordowanie króla Karola i księcia Ludwika Filipa wywarło nietylko w Portugalii, lecz w świecie całym wstrząsające wrażenie.

Ojciec św. polecił odprawić uroczyste żałobne nabożeństwo w kaplicy Sykstyńskiej przy asyście wszystkich kardynałów. O godzinie 8-mej rano w niedzielę, cesarz Wilhelm posłał adjutanta swego do ambasady portugalskiej dla złożenia kondolencyi. Pierwszą wiadomość o dokonanem zabójstwie i wstąpieniu na tron infanta Manuela otrzymał prezydent Rzeczypospolitej francuskiej, Fallieres.

Wszystkie dwory wyraziły królowej Amalii i Portugalii współczucie swoje.

Wojsko hiszpańskie na granicy portugalskiej zmobilizowano.

* * *

Panująca obecnie w Portugalii rodzina królewska pochodzi od Ferdynanda księcia Sasko-Kobursko-Gotajskiego, zmarłego w roku 1855 i małżonki jego Maryi da Gloria z domu Braganza, zmarłej w r. 1853.

Król Karol, urodzony w roku 1863, wstąpił na tron po śmierci ojca, Ludwika I., 19-go października r. 1889. Poślubił córkę hrabiego Paryża (linia Orleańska). Rządy jego były nieszczęśliwe. Portugalia utraciła na rzecz Anglii znaczne przestrzenie swoich kolonii afrykańskich; finanse państwa były zawsze i są do dziś dnia w opłakanym stanie; stan ekonomiczny kraju pogarszał się z roku na rok. W r. 1897 stronnictwo postępowe przypadłszy do steru w gabinecie, zażądało reform. Król Karol zajął stanowisko nieprzejednane. Wybuchły rozruchy i wrzenie nie ustawało przez całych ostatnich lat dziesięć. Król mianował ostatniemi czasy faworyta swego, Jana Franco, prezesa ministrów i ministra spraw wewnętrznych — dyktatorem. Wówczas stronnictwo postępowe przeobraziło się w stronnictwo republikańskie, dążąc do przewrotu państwowego. Król Karol, wysoce wykształcony, mecenas nauki i literatury, nie był lubiony. Szerokie koła ludności były usposobione dla królowej Amalii wręcz — wrogo.



Plac handlowy w Lizbonie.
× oznacza miejsce, gdzie wykonano zamach na portugalską rodzinę królewską dnia 1-go lutego 1908 r.

* * *

Król Manuel II. wydał następującą odezwę: „Portugalczycy! Ohydny zamach napełnił moje serce synowskie i braterskie największą boleścią. Wiem, że cały naród boleść moją dzieli i potępi z oburzeniem tę niesłychaną w dziejach świata zbrodnię. Konstytucya obowiązuje mnie do kierowania sprawami państwa. Moje wszystkie siły poświęcę dobru ojczyzny i starać się będę o pozyskanie miłości narodu portugalskiego. Występować będę w obronie religii katolickiej, nietykalności królestwa i konstytucyi. Równocześnie oświadczam, że mam zamiar obecnych ministrów zatrzymać w urzędzie.“ Odezwę podpisali wszyscy ministrowie. Prezydent ministr. Franco dostał terminatkę, bo młody król „chce żyć z ludem w zgodzie.“

Utworzył się już nowy gabinet z prezesem ministrów Ferreira na cele.

Nowy gabinet zrywa stanowczo z dotychczasową polityką dyktatorską. Ogłoszono rozporządzenie ministerstwa, znoszące zakaz wydawania gazet opozycyjnych. Osoby, które z Lisbony przybyły do Badajoz, opowiadają, ze spiskowcy zamordowali króla, ponieważ nie mogli zamordować dyktatora Franco, który ukrywał się starannie.

Były prezes gabinetu Franco, udal się natychmiast po zamachu do królowej i powiedział jej, że dzień ten był dla niego dniem największej boleści w życiu. Królowa odpowiedziała płacząc: „Pan jesteś sprawcą wszystkiego; nie pojmuję jak śmiesz wobec mnie przemawiać.“ Franco usiłował swoje postępowanie uniewinnić, — atoli królowa odwróciła się od niego. Wówczas Franco zawołał ministrów i oświadczył, iż podaje się do dymisyi, a następnie polecił królowi Manuelowi utworzenie obecnego gabinetu.

Myśli i zdania.

Byłoby o wiele lepiej z ludzkością, gdyby powołani i niepowołani reformatorowie myśleli więcej o poprawieniu siebie, aniżeli społeczeństwa.

* * *

Jeżeli chcesz poznać jak człowiek jest wychowany, siadaj z nim do stołu, chcesz poznać jego temperament, pij z nim, — jego charakter, graj o pieniądze. Chcesz jednak poznać stopień wykształcenia, rozmawiaj o codziennych sprawach.

* * *

Schlebiający tłumom apostołowie wolności, bywają najbardziej godnymi nienawiści tyranami.

* * *

Jeżeli chcesz być człowiekiem po Bogu i po ludziach, nie czepiaj się jak bluszcz drzew obcych, żyj sokami własnymi. A jeśli się zejdziesz z koryfeuszami społeczeństwa, to szanuj swoją godność i patrz im oko w oko. Kto zostaje półpankiem, ten niezawodnie staje się ćwierć-człowiekiem.

Przegląd prasy.

Mowa J. E. ks. kardynała Koppa, którą w krótkiem streszczeniu podajemy w naczelnym artykule naszego pisma wywarła wielkie wrażenie także w społeczeństwie polskiem.

Poniżej podajemy kilka ustępów z artykułu „Kuryera Poznańskiego“ zatytułowanego „J. E. ks. kard. Kopp w izbie panów.“

„Kuryer P.“ pisze:

„Najbardziej stanowcze stanowisko przeciw projektowi wywłaszczenia zajął w pruskiej Izbie panów JEm. ks. kard. Kopp. Nie zeszedł ani na chwilę ze stanowiska politycznych interesów **państwa pruskiego, zapowiedział energiczną obronę interesów Kościoła katolickiego, przez wywłaszczenie także zagrożonych, podniósł ważność zasad chrześcijańskich wobec materyalistycznego pojmowania omnipotencyi państwowej i z całą siłą przekonania zapowiedział rządowi, że wywłaszczenie sprowadzi wręcz odwrotny skutek.**

Dla ludności polskiej okazał się sprawiedliwym, a nawet — aż do pewnego punktu wyrozumiałym.

. . . .

Mówił także o radykaliźmie polskim, a nie rozumie go dostatecznie, jak tylu innych centrowców, tylu innych Niemców z innych partyi, a także niemało takich, którzy należą do pewnych kół społeczeństwa polskiego.

Co powszechnie nazywają radykalizmem polskim, to nic innego, jeno uprawniona praca ludu polskiego około utrzymania bytu i rozwoju narodowego. Nic więcej, ale też nic mniej nadto.

Z systemem pruskim nigdy na tym punkcie nie będzie wyrównania pojęć. Co innego nasz stosunek do Kościoła, władz duchownych i duchowieństwa. Tu radykalizm oznacza konieczną obronę przeciw germanizacyi przez władze duchowne i księży, pod naciskiem systemu pruskiego, może mimowolnej, ale jednak faktycznej. Przyznajemy i ubolewamy, że przy tej koniecznej obronie nie obyło się z naszej strony bez fatalnych błędów. Ale za to kamieniem na nas rzuci ten, kto wcale nie zna strasznego położenia ludu polskiego. I JEmin. ks. Kardynał, który tak mężnie wziął wczoraj lud polski w obronę, zażywa w szerokich kołach tego ludu opinii germanizatora. Ale i wśród najjaskrawszych wybuchów tak zwanego „radykalizmu polskiego“ nikt jeszcze nie słyszał, ażeby lud polski — wszystek, w całym zaborze pruskim, nie uznawał w nim biskupa, arcypasterza swego, któremu się należy cześć i posłuszeństwo. Cały lud polski — nawet w biskupie germanizatorze, słusznie, czy niesłusznie tak osądzanym — czci jeszcze swego arcypasterza kościelnego. Jeżeli JEmin. ks. Kardynalowi lud polski nieraz krzywdę wyrządził, niech zechce lud polski sądzić podług miary systemu pruskiego i niech zachowa dla niego wyrozumienie. Lud polski — wszystek, nie tylko na Śląsku — będzie mu całem sercem wdzięczny za to“.

. . . .

Cokolwik Opatrzność Boska przeznaczy dla nas w najbliższej przyszłości, my nigdy do Niej nie będziemy tracić ufności. Nasz Kościół wszakże, **nasi biskupi, nasze władze duchowne,** nasi księża w wschodnich prowincyach, dziś, kiedy JEmin. ks. Kardynał wskazał w Izbie panów na to, że i prywatna własność Kościoła jest zagrożoną, niechaj troskliwie i sprawiedliwie oceniają położenie ludu polskiego i położenie Kościoła z tym ludem żyjącego i ginącego!

Niech ich nie zraża tyle okrzyczany radykalizm polski! Jesteśmy na wskroś narodem katolickim, a siła żywotna ludności naszej oparta na pierwiastku Boskim, z czasem sama strawi w sobie to, co jest niezdrowe i szkodliwe. Sama będzie się w ogniu walki rasowej czyściła“.

Powyższe słowa „Kuryera P.“ zasługują na baczną uwagę. Wyłuszczają one zdaniem naszem trafnie istotę t. zw. radykalizmu polskiego i mają tę zaletę, że nie pochwalają bez zastrzeżeń wszystkiego w czambuł, co się po polskiej stronie przedsiębrało w uprawnionej bądź co bądź obronie naszych praw zagrożonych. Artykuł ten powinien wywrzeć wrażenie dodatnie i przyczynić się do wyklarowania zmąconych pojęć.

„Głos Śląski“ wychodzący w Gliwicach tak pomiędzy innemi pisze:

„Co dalej w mowie ks. Kardynała podpada, to to, że potrącił o radykalizm polski, który, jak mówił, jemu samemu już dał się mocno we znaki i który uważa za objaw bardzo niebezpieczny dla państwa. Ten radykalizm polski winien nietylko rząd zwalczać, ale wszyscy Niemcy. Na czem ten „radykalizm polski“ polega, co stanowi jego treść i istotę, tego ks. Kardynał bliżej nie uzasadnił, ani też nie określił. **Pewnie się nie mylimy, jeżeli twierdzimy,** że ks. Kardynał mówiąc o „radykaliźmie polskim“, miał na oku nietylko stosunki w Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich, ale cały zabór pruski, a więc także Śląsk polski. Z tym zarzutem spotykamy się stale tak w śląskiej prasie centrowej, jak wśród Niemców, hakatystów i przedstawicieli rządu. Prasa polska odpiera ten zarzut, nie przyznaje się do niego, przeciwnie głosi **stale i zawsze, że to jest zarzut, nie po**party dowodami. My Polacy dalecy jesteśmy od radykalizmu, daleko nam do takich objawów radykalizmu, jakie pojawiają się — nie mówiąc już o nie**mieckiem stronnictwie socyalistycznem** — nawet u innych niemieckich partyi opozycyjnych. Jest u nas — nie radykalizm — tylko spotęgowana obrona naszych praw narodowych, wystawionych na ciężki ucisk, prześladowanie, liczne upokorzenia i bolesne doświadczenia. Ks. Kardynał Kopp, jak tylu Niemców, nawet skądinąd sprawiedliwych i uczciwych Niemców, w ten stan rzeczy nie wnika i nie ma dostatecznego zrozumienia dla nieszczęścia narodowego ciężko nawiedzonego narodu polskiego.

Myśmy w piśmie naszem już niejednokrotnie przy rozmaitych sposobnościach tłomaczyli pojęcie „radykalizmu polskiego“ Tłomaczyć to nieraz jeszcze będziemy musieli i wiele jeszcze czasu upłynie, zanim Niemcy-katolicy ten sprawiedliwszy odłam narodu niemieckiego na kresach wschodnich, inne sobie pojęcie o nas wyrobią i innego zrozumienia o nas nabiorą“.

W zupełnie odmiennym duchu odzywa się *„Kuryer Śląski“* organ posła Korfantego. Pismo to zaznacza, że J. E. ks. kardynał Kopp mówił zręcznie i dyplomatycznie i że dalej w swej dyplomacyi już posunąć się nie mógł. Następnie tak pisze:

„Ks. kardynał powtarza za innymi oklepany frazes o jakimś radykaliźmie polskim. Ten radykalizm, którego działalności doświadczył na własnej skórze, jest bardzo niebezpiecznym i należy go zwalczać. Jak wiadomo, za tych rzekomych radykałów, uważają cały naród polski, który nie chce wybierać posłów do frakcyi centrum, lecz stoi pod tym względem na stanowisku samodzielnem. My jakichś tam radykałów polskich nie znamy wcale; znamy tylko lud polski, broniący twardo swej narodowości i języka, który rząd pruski bezwzględnie chce wytępić. Ks. kar**dynał powinien wiedzieć, że rząd pruski** dla racyi stanu postanowił zgnębić i wytępić Polaków i konsekwentnie zmierza do tego celu. Polacy tylko bronią się przeciwko temu, a jeżeli wobec różnych brutalnych zamachów na prawa narodu polskiego, głos protestu daje się głośniej słyszeć, toć żaden człowiek nie zarażony szowinizmem narodowym, Polakom tego za złe wziąć nie może. Gdyby ks. kardynał znał język swoich polskich dyecezyan, to miałby sposobność poznać ruch polski i nie wytaczałby przeciw niemu w tak poważnem miejscu tak ciężkich zarzutów. Jeżeli nawet księża przyłączyli się do ruchu polskiego, to zarzuty podnoszone przeciw **partyi polskiej powinny upaść i ks.** kardynał nie powinien za drugimi oskarżać Polaków o jakieś tam niebezpieczne knowania i dążenia.

. . . .

Ks. kard. Kopp będzie i nadal zwalczał Polaków; oświadczył bowiem w swej mowie, że nietylko rząd, ale i wszyscy inni (a więc i on) powinni zwalczać radykalizm polski. Możemy być na to przygotowani, że w stosunkach naszych kościelno-religijnych pożądany spokój nie zawita. Ks. kardynał życzyłby sobie, byśmy znowu poddali się pod władzę polityczną partyi centrowej i by pod „opieką“ tejże partyi odbywało się systematyczne germa-

nizowanie ludu polskiego, cicho i spokojnie bez głosu protestu ze strony Polaków. Tego ks. kardynał nie doczeka się nigdy“.

Widzimy więc, że i „Kuryer Śląski“ ostro wypiera się wszelkiego radykalizmu. Co prawda ton całego artykułu jego zdaniem naszem nie jest tego rodzaju, żeby mógł ująć ks. kardynała. A wartoby się przecież o to postarać.

Listy od przyjaciół.

List z Galicyi.

W ostatnich latach obudziło się wśród nas Polaków żywsze poczucie narodowe i zainteresowanie naszem położeniem. Jako jeden z przejawów tego ruchu podnieść należy akcyę społeczeństwa polskiego w Galicyi w sprawie bojkotu pruskich towarów i niedostarczania niemieckim obszarnikom polskich robotników rolnych. Na szeregu wieców po wsiach i miastach odbytych uchwaliliśmy odtąd omijać wszystko, co pruskie, a co możemy zastąpić naszymi lub obcymi wyrobami. Potworzyły się w wielu miastach specyalne komitety, które dozorują sprawy bojkotu wśród kupców i społeczeństwa.

Całą akcyę ujęła w swe ręce krajowa „Liga Pomocy przemysłowej“. Wydała ona specyalny skorowidz naszego przemysłu i wskazówki czem zastąpić wyroby pruskie. Jest nadzieja, że w ten sposób sprawa pójdzie dobrze. Liga pomocy przemysłowej ma sto kilkadziesiąt filij w całym kraju z ich pomocą łatwiej może to dzieło przeprowadzić. Ma ona dalej już dzisiaj całą masę pisemnych deklaracyi od ludzi, którzy zobowiązują się w bojkocie wytrwać.

Powiat lwowski zakłada nawet dla bojkotu specyalną Ligę. Nasze miejskie rady gminne (jak w Stanisławowie, Krakowie itp.) uchwaliły, by gminy zerwały stosunki z pruskiemi firmami. Oznacza to znaczny spadek dla firm pruskich w dostawie np. do gazowni i innych przedsiębiorstw gminnych.

Wprawdzie hakatystyczna prasa wyśmiewa nasz słomiany zapał i rozpuszcza fałszywe wieści, że w ostatnim czasie przywóz pruskich towarów do naszego kraju zwiększył się. Jest to tylko niezrozumienie sprawy. Z końcem roku bowiem każda firma zaopatrowuje się w większy zapas towarów. Jak dawniej tak i teraz kupcy nasi porobili zamówienia w Prusiech jeszcze przed bojkotem. Trudno się było wycofać i stąd ten rzekomy wzrost pruskiego przywozu choć wielu kupców finansowo bardziej niezawisłych i tak się wycofało. Mimo że kupiectwo nasze w znacznej części nie dość energicznie sprawę bojkotu popiera, że większość żydów tylko pod naporem to robi — zorganizowana kontrola społeczeństwa i zrozumienie ciężkiego ciosu, jaki nas wszystkich nawiedził — to wszystko daje rękojmię, że tym razem nie skończy się jak po Wrześni na „słomianym ogniu“ ale sprawa się nam uda. Nie powiedzie się może ze wszystkiem, jakby to należało, bo za wiele trudności, ale i tak ten grosz który wydrzemy pruskiemu handlowi i przemysłowi, będzie dlań poważną stratą.

St. P.

Hej młodzianie...

Hej młodzianie, czy się godzi
W smutku chylić codzień skroń —
I rozpaczać, gdyśmy młodzi
I w zadumy wpadać toń?

Precz czcze słowa! nam do czynu
Trzeba się gotować wraz —
I wysłużyć liść wawrzynu,
Coby wiecznie zdobił nas...

Bo czcze słowa tak zwodnicze —
Do zwątpienia wiodą bram,
Czynów pięknych gaszą żnicze,
Wprowadzają w serce kłam...

Hej młodzianie! gdyśmy młodzi:
Ducha z duchem, z dłonią dłoń,
Cnotą ufni w wątłej łodzi
Na burzliwą płyńmy toń...

Nie lękajmy się zawiei:
Hasłem — cnota, prawdą — Bóg!
Nic więc nas nie wykolei —
Naprzód, naprzód garstko sług...

Tym, co zadrwią z tego hasła,
Klątwy będzie rzucon wąż...
Nie — w nas wiara nie zagasła!
Dąż więc barko naprzód — dąż!...

Jan Knorr.

Z teki tetryka.

Jeżeli chcesz dowiedzieć się od plotkarza tajemnicy, nie dopytuj się o nią.

* * *

Dam ci, piękna pani, dobrą radę: nie kochaj się w rymopisie, bo ten często kocha — dla rymu.

Koronacya Piusa X.

W dziełku I. P. Kochanowskiego, zatytułowanem „Szkice i drobiazgi historyczne,“ wydanem b. r. u Wendego w Warszawie, znajdujemy piękny opis koronacyi papieża Piusa X., który dla przykładu podajemy poniżej.

Niektóre szczegóły, dotyczące zachowania się ludu rzymskiego w bazylice św. Piotra i w jej przedsionku będą zapewne raziły Czytelnika naszego. Nie skreślamy ich jednakże, ponieważ cierpiałaby na tem całość i szczerość opisu. Dość zganić niewłaściwości, a zbudować się tem, co prawdziwie wzniosłe.

Pan I. P. Kochanowski pisze:

Przestrzeń kolistą Bazyliki, tuż pod kopułą — tam, gdzie w pośrodku wznosi się Konfesya św. Piotra — ołtarz papieski — odgrodzono baryerą od strony kościoła i obstawiono ją wojskiem.

Po za tą baryerą widniała w głębi świątyni przestrzeń wolna, a olbrzymia, pozostawiona prawie wyłącznie do użytku Papieża i jego dworu. Prawie — albowiem cząstkę zaklętego koła, ku lewej ręce, a w bezpośredniem sąsiedztwie tłumu, zajmowały panie w czarnych sukniach i welonach; ku prawej zaś — w pobliżu Konfessyi, ustawiono oparta o filar kopuły trybunę bogatą ze szkarłatu i złota, przeznaczona dla ciała dyplomatycznego i dostojników zagranicznych.

W głębi — na miejscu wielkiego ołtarza, zaściełały ścianę całą od stropu do ziemi draperye kolosalne z adamaszków, mieniących się karmazynem jedwabiów, złotem sznurów, frendzli i podtrzymujących tysiączne upięcia, aniołów skrzydlatych... Było to tło właściwego tronu, który wznosił się tam na podwyższeniu szkarłatnem, pod baldachimem z purpury i złota, zasłany lamą srebrną, ujętą w czerwony szlak aksamitny, przetykany złotem.

Przestrzeń, zarezerwowana naokół tronu i Konfessyi, była jeszcze wolna w chwili, kiedy po raz pierwszy wzrok na nią zwróciłem.

Zwolna zapełniała się ona uniformami dygnitarzy, dążących do trybuny, kostiumami historycznemi arystokracyi i dostojników dworu papieskiego... W barwnym kalejdoskopie

mieniły się tu: czerwień, lazur i złoto, błyski drogich kamieni, atłasy i aksamity, gra pióropuszów, zdobiących kaski i hełmy.

Zewsząd płynęły te postacie, zapuszczając się nawet w głąb szpaleru, prowadzącego ku wyjściu, jak gdyby im żal było rozstać się z roziskrzonem wejrzeniem tłumów i zająć przeznaczone miejsca na uboczu.

A tymczasem rósł pogwar w kościele, gdyż w loży, panującej ponad portykiem, ukazali się trębacze papiescy. Szpaler przebiegać zaczęły malownicze straże Szwajcarów ze srebrzystemi halabardami w dłoniach, a za niemi napływał zdala szmer cichy, który zamienił się wkrótce w potężny szum rzeki....

Ludzie gromadzili się na gzemsach u filarów, zazdroszcząc tym, którzy lepsze miejsca zdobyli, tłum chwiał się i kołysał, grożąc katastrofą, a w oddali dały się słyszeć jęki zagrożonych, skierowując myśl ku wyjściu, lub bodaj ku zbudowanym w nawach bocznych oddziałom sanitarnym...

Nagle zapanowała cisza i z ciszy tej wystrzelił oddalony gwar głosów, zwiastujących coś niezwykłego.

Pomimo zaduchu i gorąca, które pozbawić mogły przytomności, skierowałem wzrok mój ku wejściu, gdzie ruch jakiś się poczynał. Zegar kościelny wskazywał 5 minut do 9, gdy wśród ciszy chwilowej tłum zakołysał się znowu, dysząc niepokojem, a w podwojach świątyni ukazał się las halabard, wyprzedzających orszak papieski.

Nikt nie patrzył na barwną wstęgę, sunącą zwolna, poważnie, w głąb Bazyliki. Upatrywano z oddechem zapartym kogoś i czegoś, co za moment ukazać się miało.

Mignął zdala krucyfiks złoty, wzmógł się szum ludzkiej fali i naraz głosy rozmodlone: *Eccolo! Lui! Lui!* zwiastowały zbliżanie się Arcykapłana.

Wzrok wytężyłem ku wejściu: W olbrzymich podwojach zajaśniało nagle zjawisko niezwykłe.

Tłum przesłonił na chwilę widok na orszak papieski; ze strony Bazyliki padła smuga elektrycznego światła i, przemknąwszy ponad głowami ludu, zadrgała fala białego blasku w odrzwiach świątyni.

A z blasku tego wyłoniła się, jak na zaklęcie, siedząca postać biskupia, z ręką do błogosławieństwa wzniesioną, w infule srebrnobiałej, jak światło, z którego wyszła i zakołysawszy się przez chwilę nad morzem głów ludzkich, spłynęła wolno, majestatycznie, niby tajemniczym powiewem niesiona, w głąb Bazyliki.

Tłum poruszył się, stanął i w milczeniu wzrokiem wytężonym śledził zbliżającą się sedię, około której, na wysokości głowy papieskiej, sunęły dwa wachlarze z białych piór strusich, ujętych w ciemny aksamit i srebro.

Szmer fali ludzkiej, towarzyszący zjawisku od wejścia, stopniał nagle w potężnym okrzyku Evviva! w powiewie chustek białych, skierowanych przez rąk tysiące w stronę Papieża i we frenetycznym oklasku tłumów.

Szybkiem, energicznem cofnięciem ręki błogosławiącej, Papież przywrócił milczenie i w ciszy tej zagrzmiały niespodzianie z górnych sfer świątyni, z logii od wejścia, słynne trąby srebrne, witające po raz pierwszy Piusa X-go hymnem przepotężnym: Tu es Petrus...

Akompaniowały im od Konfesyi św. Piotra głosy śpiewaków mistrza Mustafy.

Papież zbliżał się ku nam...

Otoczona wieńcem halabard i bagnetów, a odwracająca uwagę od wspaniałości orszaku, mijała sedia roziskrzone źrenice ludu, unosząc Papieża dalej i dalej, ku oczekującym go nowym zastępom... Wreszcie zrównała się z nami.

Na fotelu z aksamitu wiśniowego, pokrytego haftem bogatym, spoczywał Pius X w sutannie białej i płaszczu złotolitym.

Srebrna infuła zdawała się ciążyć brzemieniem na jego głowie o twarzy pełnej, łagodnej, pobladłej ze wzruszenia,a noszącej na sobie piętno słodyczy i dobroci porywającej.

Nadawała ona rysom papieskim wyraz uduchownienia, przykuwający do siebie rozmodlone spojrzenia tłumów, które chyliły się kornie usiłując przyklęknąć pod błogosławiącym je ruchem ręki Arcykapłana.

A Papież ze spojrzeniem zadumy, utkwionem w głowy ludu, czynił znak krzyża i z szeptem modliwy posuwał się dalej, dążąc ku kaplicy N. Sakramentu.

Na skręcie powitał go znowu grzmot głosów i oklasków... I znowu ruchem ręki przywrócił milczenie... Sedia skierowała się ku odrzwiom kaplicy, zawisła przez chwilę nad głowami tłumu, a potem, otoczona barwnem kołem szwajcarów, gwardyi i kawalerów maltańskich, zsunęła się cicho na ziemię. Pokrył ją las halabard i szyszaków straży... Papież w głębi kaplicy oddawał się adoracyi Ciała i Krwi Pańskiej...

Po kwadransie ruszył Pius X w tym samym porządku, w poprzek kościoła, zmierzając ku ołtarzowi św. Grzegorza, gdzie kardynałowie hołd mu składać mieli...

Wyniesiono go stamtąd procesyonalnie pod baldachimem z jedwabiów i złota, otoczonego kołem jarzącego światła, a poprzedzanego przez purpurowy tłum kardynałów, z Algiardim i Vanutellim na przedzie, a z Rampollą, Gottim, Svampą, Gibonsem, Skrbenskym i Martinellim w dalszych szeregach...

Kiedy sedia znalazła się w pobliżu Konfesyi św. Piotra, głos jakiegoś Wenecyanina zabrzmiał nagle z tłumu okrzykiem radosnym: Viva el nostro Patiarca!...

Papież z uśmiechem zadowolenia na twarzy, pogonił za nim spojrzeniem... Poniesiono go jednak dalej, a w drodze do tronu dopełnił monsignore Riggi, w oczach Arcykapłana, symbolicznego całopalenia konopi, zakończonego filozoficzną przestrogą:

Pater Sancte! Sic transit gloria mundi...

Kolistą przestrzeń Bazyliki przylegającą do Konfesyi, zapełnił tłum dostojny. Na lewo wyrósł las białych infuł, ożywiony polichromią mitr i kołpaków egzotycznych Książąt Kościoła; na prawo stanęli w zwartych szeregach dygnitarze świeccy w mundurach, lśniących od złota, a u stóp Konfesyi i po za nią mieniły się w słońcu purpury, krzyże i łańcuchy licznych eminencyi...

W głębi — za tym kalejdoskopem barw, marmurów i złota; za szeregiem wart honorowych, okalających Konfesyę od strony ludu; za bronzami grobu św. Piotra — siadł w majestacie Pius X na srebrnym tronie... Strumień elektrycznego światła padł na jego postać, tonącą w morzu kolorów, w bieli szat papieskich, a obramioną karmazynami kolosalnego tła baldachimu, z którego boków wyrastały strusie pióra wachlarzy i lśniły bezcenne klejnoty asystentów tronu.

Zapanowała chwila milczenia; Papież zstąpił z wysokości i, dosiadszy sedii, podążył w gronie asysty na stopnie ołtarza. Ztamtąd już, wśród dźwięków hymnu tryumfalnego Palestriny Laudate Sion..., zabrzmiał głos jego, tłumiony wzruszeniem: Introibo ad altare Dei...

Hymn bił z kopuły falami melodyi i pieśni, tłum szumiał, jak rzeka wezbrana, a po za Konfesyą św. Piotra, twarzą do ludu zwrócony, blady i w białem zuchetto na głowie, rozpoczynał Pius X świętą ofiarę.

Po chwili — już po confiteor zni-

kła nam jego postać z oczu. Papież usiadł wtedy na małym tronie u stopni ołtarza, oczekując na pallium z rąk kardynałów Macchiego i Segna... Niebawem ukazał się znowu na tronie głównym, w potokach światła elektrycznego, przodując obecnością swoją szeregowi obrządków długich, symbolicznych i religijnych, związanych z uroczystą mszą koronacyjną.

Kardynałowie ponowili na klęczkach hołd przed jego majestatem. Tymczasem jednak na pienia i modły tłumu biskupów, na hymny, rozbrzmiewające z wyżyn kopuły, padał głośny, bezceremonialny pogwar ludu, tworząc dysonanse, nie licujące ani z miejscem i powagą chwili, ani z obecnością Arcykapłana, ani wreszcie — z usprawiedliwionem dążeniem wielu do pochwycenia paru, bodaj niezagłuszonych melodyi wzniosłej muzyki, przedzierającej się z trudem z pod batuty Ferosiego do uszu słuchaczów.

— Domino nostro Pio, a Deo decreto Summo Pontifici et universali Papae, vita! — woła chór potężnym głosem, ale zbyt nikłym wobec tłumu, co szumi jak burza...

— Viva Pio nono... — akompaniuje mu głos jakiś silny, a niepowołany, z morza głów ludzkich, i publiczność, daleka już od rozmodlenia, czyni uwagi głośne na temat „uderzającego podobieństwa" obu papieżów, racząc się jednocześnie koniakiem i winem...

A nieruchoma, biała postać Piusa X, zmartwiała ze znużenia, tonie w głębi tronu, spowita blaskiem barw i świateł, rzucanych ze stropu świątyni.

Uroczystość, której szczegóły, nie zawsze widzialne dla ludu, uchodzą jego uwagi, staje się nużącą.

Ludzie skupieni w upale i natłoku, omdlewający, bo stoją od rana, zwracają się wreszcie tu i owdzie ku przesmykom, wiodącym do naw bocznych, gdzie może, może znajdą sposobność ulżenia członkom strudzonym...

Dążę i ja za nimi. W nawie lewej chłód i przestrzeń wolna, pociągająca ku sobie. Publiczność, ocierając pot z czoła, przechadza się parami po zbrukanych marmurach posadzki i, rozprawiając żywo, szuka siedzeń u podstaw filarów, dąży ku adamaszkowym zasłonom namiotów sanitarnych, wciska się poza kotary 00., zawieszone obok Chrzcielnicy, w kaplicy św. Jana.

W olbrzymich odrzwiach Bazyliki stoją znużone pikiety żandarmów i grenadyerów papieskich, i po za nimi — w głębi przedsionka, otwiera się widok, zdumiewający nawet we Włoszech.

Od strony Konfessyi św. Piotra, od strony papieskiego tronu, brzmią pienia chóru Tu illum adjuva... i łamią się z pogwarem ludu — a tu na posadzce, zamienionej w błoto, na stosach brudnych, podartych papierów, na szczątkach niedopałków, owoców i kapeluszy, wśród obłoków dymu tytuniowego, wala się tłum o głowach nakrytych, paląc w postaci leżącej cygara i papierosy, spożywając brzoskwinie, ser i salami, albo częstując się z opłatanek koniakiem i winem.

Miałem chwilę niesmaku; wkrótce jednak ogrom Bazyliki wydał mi się miastem o wielu, a rozmaitych dzielnicach.

Tam — zawrotne otchłanie przepychu, dwór i jego dostojnicy; dalej — armie, lasy halabard i pióropuszy, dystyngowane koła rzymskich i obcych obywateli, place, natłoczone ludem, szpitale i ulice. Tu — dzielnica Zatybrza z jego malowniczością, ubóstwem i brudem. Wszystko — zawarte w ścianach niebotycznych jednej świątyni, jaśniejącej połyskiem marmurów i rzeźbami olbrzymiego stropu, a ukoronowanej kopułą, co Rzym i wieczne jego pamiątki przygniata. Pod tą kopułą, u Grobu Księcia Apostołów, w sercu dzielnic i rozmaitego ludu, Arcykapłan sprawował teraz świętą ofiarę.

W chwili, kiedy w drodze powrotnej dotarłem w okolice Konfessyi, kardynał-dyakon, profilem do ludu zwrócony, stał na najwyższym stopniu ołtarza i pośredniczył pomiędzy nim a Papieżem.

Po Epistole i Ewangeliach, odśpiewanych przez przedstawicieli różnych obrządków u tronu, nastąpiła ceremonio średniowieczna z Hostyą i winem, nie widoczna dla publiczności.

Konsekracyę wśród srebrnej fali dzwonków odbył Papież u ołtarza, poczem natychmiast na tron powrócił.

Zajaśniała tam jego postać w otoczeniu kardynałów, z których jeden, Pierotti, wręczył mu Hostyę, a Macchi kielich złoty.

Pius X, spełniając najważniejszy akt symbolicznego swego dostojeństwa, przyjął komunię, nie powstając z tronu; z rąk jego komunikowali kardynałowie Macchi i Segna. Msza dobiegała kresu.

Rozległy się ciche słowa benedykcyi i wnet potem Papież, przyjąwszy od kardynała Rapolli archaiczny podarek zbiorowy 25 paolów ($12^1/_2$ litr.) — t. zw. Presbiterium pro missa bene cantata, ukazał się na sedii, w otoczeniu dworu, przed Konfesyą św. Piotra.

Nastąpił szereg chwil równie uroczystych, jak ta, kiedy Papież po raz pierwszy wstąpił do Bazyliki.

Wspaniały orszak rozwinął się wszerz kościoła, u stóp Konfesyi od strony ludu. Nieco ku ręce prawej opuszczono sedię, która spoczęła na lekkiem wzniesieniu. Kardynałowie, patryarchowie i tłum biskupów otoczyli Papieża, nie przesłaniając jednak widoku na jego postać siedzącą. Po lewej ręce Piusa X stanął Wielki Asystent tronu, Filip ks. Orsini, w aksamitach brylantami tkanych; po prawej — duchowni jego towarzysze.

— Corona aurea super caput ejus! — zagrzmiały chóry, a kardynał Macchi, stojąc u stóp Papieża, szeptał wzruszony słowa modlitwy Pańskiej.

Nastała cisza śmierci. Kardynał Steinhuber, zbliżywszy się do Papieża, zdjął ruchem poważnym z głowy jego srebrzystą infułę biskupią, pod którą zajaśniało białe zuchetto.

I wtedy, jak wyrosła z ziemi, ukazała się nagle w sąsiedztwie Papieża postać wyniosła kardynała Macchi ze złotą, klejnotami sadzoną, tyarą w dłoniach.

— Accipe tiaram, tribus coronis ornatam, et sci te esse patrem principum et regum — mówił głosem donioslym kardynał. Dalsze słowa formuły odwiecznej utonęły w pogwarze tłumu.

Wraz z wyrazem amen, wypowiedzianym dobitniej, a wśród ogłuszających oklasków i okrzyków ludu, tyara spoczęła na głowie Piusa X.

Pochyliły się halabardy straży, które na klęczkach witały tę chwilę, a o mury Bazyliki odbił się hymn uroczysty trąb i głosów śpiewaczych: Tu es Petrus...

I nastała znowu chwila milczenia: Papież szeptem rozpoczął modlitwy, których tekst dwaj biskupi, klęcząc, zbliżali mu do oczu, poczem wstał i stojąc, wygłosił mową drżącą wielką benedykcyę, wysłuchaną przez obecnych z nabożnem skupieniem.

— Sancti apostoli Petrus et Paulus, de quorum potestate et auctoritate confidimus, ipsi intercedant pro nobis ad Dominum — mówił Papież.

— Amen — odpowiedział tłum.

— Precibus et meritis B. Mariae... et omnium sanctorum misereatur vestrum omnipotens Deus, et dimissis omnibus peccatis vestris perducat vos Jesus Christus ad vitam aeternam.

— Amen.

— Indulgentiam, absolutionem, et remissionem omnium peccatorum ve-

strorum, spatium verae fructuosae poenitentiae... at finalem perseverantiam in bonis operibus tribuat vobis omnipotens et misericors Dominus.

— Amen.

—Et benedictio Dei omnipotentis, Patris et Filii et Spiritus Sancti — kończył Papież, wznosząc obie ręce ku niebu — descendat super vos et maneat semper.

Rozgłośne amen z ust wielotysięcznego tłumu było odpowiedzią na to błogosławieństwo ostatnie, zamknięte, zwyczajem Włochów, gorącym oklaskiem obecnych.

Czuło się, że lud rzymski, świadomy obrzędów koronacyjnych, zbliżył się w tym momencie uroczystym z ufnością do „swego“ Arcykapłana, że dziękował mu za jego miłość ku sobie, za modlitwę i poniesione trudy.

Moment ostatni, zamykający uroczystości dnia tego, przeszedł powagą nastroju i potęgą swego wyrazu wszystkie bodaj chwile, jakich świadkami byliśmy w kościele.

Sedia zawisła znowu na barkach służby papieskiej, a orszak wspaniały sunął wolno i uroczyście szpalerem barwnej straży ku widniejącym w dali podwojom świątyni.

Dora Mukułowska.

Już w poprzednim zeszycie naszego pisma daliśmy, jako kartkę albumową reprodukcyę wielkiego olejnego obrazu panny Dory Mukołowskiej, zat. „Dama na ulicy“. Obraz ten malowany przed kilku laty, obiegł znaczniejsze wystawy artystyczne, był pomiędzy innemi także w Wiedniu i Paryżu, a i nasz Salon Sztuki dał mu swego czasu gościnę. Obecnie wystawiła p. Dora Mukułowska w Poznaniu cały szereg płócien, z których kilka reprodukujemy w niniejszem zeszycie naszego pisma — za łaskawem zezwoleniem Szanownej artystki.

Ponieważ nie chcieliśmy przy ocenie twórczości panny Dory Mukułowskiej polegać tylko na własnem zdaniu, postaraliśmy się o kilka krytyk. Mamy przed sobą kilka gazet wiedeńskich, paryskich, krakowskich i lwowskich i przekonujemy się, że wszędzie z wielkiem uznaniem kompetentni krytycy podnoszą bogate zdolności panny Mukułowskiej i prorokują jej wielką przyszłość. Nie chcąc przeciążać niniejszego artykułu cytatami, powtórzymy jedynie, co swego czasu pisał „Czas“ krakowski z okazyi wystawionych we Wiedniu prac młodej artystki. Czytamy tam:

„Tymi dniami urządziła prywatna szkoła malarstwa na Kohlmarkt w Wiedniu wystawę prac swoich uczenic, w liczbie których znajduje się kilka Polek. Z pośród nich wyróżnia się szczególnie panna Dora Mukułowska, która dała portret siostry swej, utalentowanej pianistki, malowany z ogromnym talentem. Co przedewszystkiem uderza w pracach panny Mukułowskiej to nadzwyczajny dar kompozycyjny co do układu i myśli. Siostra przedstawioną jest, nie przy fortepianie lub w innej konwencyonalnej pozie — ona przechodzi trotoarem właśnie pod oknami kawiarni, gdzie jej smukła kibić wzbudziła ciekawość jakiegoś modnisia w monoklu, ale sama tego nie widzi (minęła już bowiem to okno), bo walczyć musi z wiatrem zastępującym jej drogę; więc lekko pochyloną główką, trzymając kresę kapelusika prawą ręką, stawia opór wiatrowi. Przebija w tym układzie niewinna filuterya, ale co najważniejsza, jest głębsza myśl w tym portrecie ujawniona a wyraźnie mówiąca, że to duch silny i energicznie dążący do celu, skoro z wiatrem idzie w zawody. Więc w myśli i sercu artystki ten portret został poczęty.

Co do techniki i sposobu traktowania przedmiotu — nie kusi się ta artystka o efekta koloru i światła, o brawurowe rzucanie pendzlem (a potrafi i to, jak widać ze szkiców), ale przedstawia rzecz spokojnie, seryo w kolorycie szaro-różowawym, bardzo oryginalnym i dystyngowanym. Nic tu nie wyrywa się naprzód, żaden szczegół się nie wyróżnia, ale wszystko dostraja do całości i podporządkowuje głównej myśli — do tego tło jest ledwie naszkicowane, dyskretnie ustępując na plan trzeci. Rysy i charakterystyka twarzy, widzianej w profilu, uchwycone są trafnie.

Również dowodem bogatej wyobraźni, wielkiej pomysłowości, a więc talentu kompozycyjnego panny Mukułowskiej, jest jej fryz, przedstawiający korowód nimf w około przyłapanego gdzieś biednego fauniątka w wiosennym pejzażu. Tu odpowiednio do tematu koloryt barwny, żywy, rozkład figur, grup i perspektywa bez zarzutu. Dalej idzie cała serya kompozycyi i szkiców bądź olejnych, bądź piórkowych i znów inwencya w niektórych konkursowych drobnych rzeczach (afisze) nieposlednia, tak, że wszystko razem zesumowawszy, możemy pokładać nadzieje w tak bujnie rozwijającym się młodym talencie.

Obecnie po zamknięciu już szkoły, nieustająca w pracy młoda kandydatka robi studya w ces. galeryi, zatapiając się w sztuce Rembrandta.“

Od czasu, jak powyższe słowa napisano, upłynęło lat kilka, podczas których artystka kształciła się nadal w kilku centrach artystycznych, ostatnio w Paryżu.

We Wiedniu w pracowni na Kohlmarkcie zyskała cztery nagrody za dobrą kompozycyę. W Paryżu otrzymała od jury Salonu International pozwolenie na wystawienie tamże swych prac, a znany krytyk paryski Jouet poświęcił jej płótnom pełną uznania ocenę. Salon International, należy do wybitniejszych artystycznych instytucyi paryskich. Wystawiają tam swe dzieła mistrze tej miary co Bernard, Simon, Henri Martin i inni europejskiej sławy malarze. Że prace naszej wielkopolskiej artystki w tem otoczeniu zwróciły uwagę wytrawnych krytyków, świadczy dodatnio o ich wartości.

To też i my w Poznaniu nie będziemy surowszymi od tamtych sędziami, lecz z uznaniem przyłączymy się do ich sądu i stwierdzimy, że w pannie Mukułowskiej posiada nasza dzielnica nader interesującą i wielce wytworną artystkę, która, lubo jeszcze nie osiągnęła najwyższych szczytów artyzmu, to jednak dzięki swemu wybitnemu talentowi do najpiękniejszych upoważnia nadziei.

R.

Nasze ryciny.

„Zaproszenie to tańca“. — Zebrane w karczmie towarzystwo po wesołej libacyi rozpoczyna tańce. Rycina obrazuje chwilę, w której mężczyźni zapraszają kobiety do tańca.

* * *

„Gerwazy“. — Klucznika „Gerwazego“, którego tak pięknie opisuje nasz nieśmiertelny wieszcz w „Panu Tadeuszu“, wybornie scharakteryzował w swym obrazie artysta-malarz B. Łaszczyński, o czem świadczy zamieszczona reprodukcya.

* * *

„Potyczka.“ — Rycina przedstawia jeden z licznych epizodów z ostatniej wojny francusko-niemieckiej.

Nowe książki.

Czem zastąpić napoje alkoholiczne? *Spis napojów zdrowotnych oraz najprostsze sporządzanie niektórych.* Z rycinami. Nakładem Wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin N. Weissenburgerstr. 27). Cena z przesyłką: 55 fen. 65 hal., — 30 kop.

Szkodliwość wszelkich napojów alkoholicznych — od ostrych wódek do najlżejszego piwa — została, szczególnie w ostatnich czasach, dobitnie wykazaną naukowo i statystycznie. Mimo to powszechne używanie tych trucizn wcale się nie zmniejsza. Zatem gorliwi szermierze wstrzemięźliwości nie szczędzą pocisków — słowem, pismem, wizerunkiem — przeciw uporczywemu trwaniu tej klęski.

Piorunowania to uzasadnione, więc czemuż nie skutkują? Widocznie dlatego, że — z jakich bądź powodów — pragnienie, u wielu potężne, istnieje i na nic się nie zda piętnowanie używek szkodliwych, dopóki nie zastąpi się ich właściwszemi.

To zadanie rozstrzygnięto w sposób rzeczywiście praktyczny w wymienionej tu książce.

Najprzód, jako najbliższe zastępstwa napojów alkoholicznych, są tam bardzo trafnie wskazane rozmaite owoce, jagody, soki, limonady, wody mineralne, mleko (krowie, migdałowe, orzechowe itp.), maślanka, serwatka, dalej kawa i herbata, szczególnie z roślin krajowych, piwa i wina bezalkoholiczne, wreszcie kwas chlebowy i rozmaite octy owocowe.

Następnie, liczne, najprostsze i najtańsze sposoby przyrządzania, szczególnie win owocowych niealkoholicznych, są podane tak dostępnie dla każdego, że je bardzo łatwo zużytkować do robienia zapasów, czy to dla własnego użytku, czy też dla przedsiębiorstwa wszelkich rozmiarów.

Oby więc nareszcie otworzyły się oczy naszym posiadaczom ziemskim i przemysłowcom — od najskromniejszych do najzamożniejszych — na to, że możliwe rozszerzenie uprawy owoców i jagód oraz wyrabiania z nich zdrowych, smacznych i tanich napojów krajowych, zdolnych korzystnie zastąpić wszelkie zagraniczne, może i powinno przynieść nam ogromny pożytek — zdrowotny i gospodarczy, materyalny i moralny — prywatny i społeczny.

Sprawy ekonomiczne.

W sprawie przyszłej wystawy przemysłowej w Poznaniu.

Nie rozkoszuję się osobiście nigdy wystawami miniaturowemi, małomiasteczkowemi. Dlatego też nie interesowały mnie bliżej wystawy miast Kościana, Śremu, Gostynia, Ostrowa. Takie bowiem wystawy rzadko są dobrze ujęte, doskonale zorganizowane, zamało wzbudzają zainteresowania, bo za mało przedstawiają publiczności, chcącej dużo wrażeń za tani grosz. Wątpię też, czy te wystawy dały odnośnym miastom odpowiedni pożytek.

Nie jest też dla mnie jeszcze idealną wystawa Poznania i okolicy choćby najumiejętniej urządzona i przeprowadzona. Ale przyznam, że wystawa taka już jest czemś zupełnie innem, czemś poważnem i ponętnem zarazem. Poznań bowiem sam jako stolica i jako miasto w handlu i przemyśle wzmagające się nadzwyczajnie silnie, dał tym swym postępem i ruchem ożywionym dowód, że stać go na wystawę *pożyteczną* dla wystawców i dla całego społeczeństwa *bezwarunkowo*.

Jeżeli wystawa ma mieć rzeczywiście powodzenie, będzie rzeczą organizatorów: *zmobilizować wszystkich fabrykantów* naszych Poznania i okolicy w ten sposób, aby chętnie wzięli udział w wystawie jako wystawcy. Ostatnie lata dużo wytworzyły nowych przedsiębiorstw fabrycznych u nas większych i mniejszych, ostatnie lata dużo też wysunęły na pierwszy plan tęgich rzemieślników. Tamci więc i ci mają sposobność wyjścia z ciasnych ram dotychczasowego działania i pokazania swych wyrobów, swej doskonałej pracy, swego postępu szerokiej publiczności — tej więc części społeczeństwa, która kupuje. Niejeden zwłaszcza rzemieślnik jest doskonały, a mimo to, choruje na brak odbiorców. Otóż wystawa daje mu sposobność zapoznania odbiorców ze swymi wyrobami i zachęcania ich do zakupów. Dla *wielu przemysłowców* jest wystawa *idealną* wprost *reklamą*. Tysiące ludzi widzi jakieś doskonałe i stosunkowo tanie wyroby i to sprawia rozgłos wykonawcy tychże. *Niejeden wystawca zawdzięcza jedynie wystawie pomyślny rozwój swego przedsiębiorstwa. Niejednego wystawa zrobiła znanym, pożądanym i wielkim.*

Wystawa poznańska będzie miała na celu także zapoznanie kupców zakordonowych z naszymi wyrobami, aby wystawcom ułatwić zbyt w dalsze strony, po za granicę *napewne*. Ale nabywcy o tem nie wiedzą, bo dostawcy o nich nie umieją się starać. Dla niejednych wyrobów stać się mogą bardzo poważnymi odbiorcami Królestwo i Galicya. A o tę łączność ekonomiczną powinno nam przecież chodzić bardzo! Bo taka łączność będzie w tym razie pierwszym poważniejszym krokiem naprzód w ruchu wywozowym, w zamysłach naszego przemysłu na dalszą metę, na szerszą arenę. Jeżeli wystawa nasza tego dokaże przez *wstępną doskonałą* reklamę i zachętę gorącą skierowaną nietylko na Księstwo, ale i ku Królestwu i ku Galicyi, i jeżeli wystawcy sami zrozumieją doniosłość takiej akcyi i umiejętnością doboru swych wyrobów dla wystawy wykażą, że te ich wyroby nie tylko ładne, dobre, pożyteczne i tanie, ale, że je się opłaci nabywać z zagranicy, to taka wystawa będzie chlubą dla nas.

Na to, aby doskonałą wystawę wyrobów swojskich dać, potrzeba energii, sprężystości, wytrwałej i cierpliwej pracy, reklamy bystro ujętej, a równcześnie wystawców doskonałych o tyle, o ile ich wytwory doskonałe i popytne. Organizatorzy niech się w swem działaniu nie zaleśniają, niech raczej wysilą, aby na barki wzięte trudne zadanie umiejętnie przeprowadzili. Należałoby wejść wszystkimi tymi *fabrykantami* w ścisłe stosunki, których fabrykaty są godne poparcia. Wygotowanie dokładnej listy tychże fabrykantów powinno być staraniem organizatorów.

Z drugiej strony nie łudzimy się, że rozmiary wystawy na wzgórzu św. Łazarza utrudniają organizatorom szersze rozwinięcie programu i że jeden tydzień przeznaczony na wystawę to bardzo mało. Wiemy atoli, że trwanie wystawy można przedłużyć skoro okoliczności złożą się pomyślnie.

A o tej pomyślności dla wystawy a tem samem dla organizatorów, a więc w pierwszej linii dla okręgu poznańskiego Towarzystw Przemysłowych nie wątpimy na chwilę. Przecież podały sobie tu bratnie dłonie: Stary Przemysł i Towarzystwo Młodych Przemysłowców, a z niemi pospołu Związek Towarzystw Przemysłowych. Chyba w takich warunkach wystawa udać się musi!

„Przemysłowiec.“

